

TYGODNIK ILLUSTROWANY



H. Sienkiewicz

SIENKIEWICZ U SIEBIE.

Telegram Ministra Najwyższego Dworu.

Podczas przebytej przez Jego Cesarską Mość Najjaśniejszego Pana choroby, bez przerwy nadchodziły, tak bezpośrednio na Imię Najjaśniejszych Państwa, jako też za pośrednictwem ministrów Najwyższego Dworu i spraw wewnętrznych, od rozlicznych sta-

nów, instytucji, stowarzyszeń w Państwie i od poszczególnych osób, bardzo liczne oświadczenia wiernopoddańczej miłości i wierności. Niezależnie od tego ludność wszystkich wyznań, we wszystkich miejscowościach, wznosiła powszechne modły o jak najprędzsze wyzdrowienie Jego Cesarskiej Mości.

Po podaniu o tem do wiadomości Jego

Cesarskiej Mości, Najjaśniejszy Pan Najmłodszej rozkazał raczy: **Wyrazić wszystkim stanom i stowarzyszeniom w Państwie serdeczną wdzięczność za wyrażone uczucia.**

Podpisano: Minister Cesarskiego Dworu generał-adjutant *baron Frederiks.*

Liwadya, 30 listopada (13 grudnia) 1900 r. („Warsz. Dniew.“)

Henrykowi Sienkiewiczowi.

Warszawa, 22 grudnia.



owiedział Henryk Sienkiewicz przez usta jednego z bohaterów swoich, że „w prywatnym życiu sława jest o tyle coś warta, o ile można z niej zrobić podnóżek dla ukochanej kobiety.“ I po-

wiedział dalej: „Przeświadczenie, że to, co robię, znajduje uznanie i budzi echo, z tego publiczny człowiek może być zadowolony.“

I stała się sława jego podnóżkiem dla stóp ukochanych, i stała się piedestałem dla społeczeństwa.

A oto społeczeństwo to zbliża się dzisiaj ku niemu z takim uczuciem, z jakim jeszcze żadnego z żywych nie witało piewców, i takie dary składa u stóp jego, jakimi w literaturze wszechświatowej zaledwie kilku wybranych obdarzono twórców.

Bywają paroksyzmy mody literackiej, która wznosi swe bożyszcza, jak wichur szybko, jak słońce wysoko, ale po kilku chwilach ekstazy strąca je w pył zapomnienia. Sienkiewicz nie ukazał się nagle, jak meteor ognisty, lecz piął się w górę po szczyblach geniuszu, a za nim szedł podziw ludzki, nie ten histeryczny, co błyska i ginie, lecz ten, co rośnie, jak morze w przypływie, i dopiero na szczytach korzy się przed pięknem.

Bywają uwielbienia pewnych grup literackich, hołdy ułamków społecznych, złączonych węzłem doktryn estetycznych, i oto w środowiskach takich wyrastają pomniki, przed którymi kłaniają się gromady sekciarzy sztuki, społeczeństwo jednak nie uchyla czoła. Ale są talenty jak słońce, które przyświeca całemu istnieniu, i może każdy wielbi je inaczej, ale wielbią wszyscy i miłują wszyscy. Takim słońcem w literaturze jest Sienkiewicz: podziwia go nie jakaś szkoła literacka, nie hufiec wyznawców pewnej ewangelii sztuki, nie ci jedynie, którzy królują na szczytach kultury ludzkiej, lecz całe, ogromne społeczeństwo, przedstawiciele wszystkich kierunków i prądów, estetycy i zjadacze chleba.

Bywają talenty wielkie, uwielbiane przez społeczeństwa swoje, nawskroś rodzime i swojskie, lecz nie sięgające blaskiem swej chwały po za słupy graniczne własnej ojczyzny. On jednak wzbił się tak wysoko na skrzydłach geniuszu, że wszystkie kraje i ludy zwróciły ku niemu oczy zdumione. Z krwi polskiej, jest i znak herbowy ducha jego polskim jest, ale potęga poezji zaniosła go tam, gdzie zaczyna się najwyższe, bo wszechludzkie piękno. Chwała tym, co rodzinne gniazda rozświetlili swą pieśnią, ale większa

chwała tym, którzy, stojąc na gnieździe rodzinnem, uderzyli tak silnie w struny swej harfy, że usłyszały ich ludy najdalsze, że jodły Północy i palmy Południa zaszumiały echem tej muzyki.

I pytają społeczeństwa zdziwione: w czym tkwi poezji takiej czarnoksiężstwo i jak imię tej magicznej sile ducha, która serca ludzkie ujarzmia?

Prawda! Słowa Sienkiewicza utkane są z tęcz siedmiobarwnych, skąpane w woniach bżów, jaśminów i róż, rozśpiewane muzyką surm wojennych, ligawek pastuszych, szumów dębowych, jesiennych wichrów i szeptów kochania, ale czarujący strój języka, którego najświetniejszy tłumacz w obcej nie powtórzy mowie, to nie potęga, lecz cząstka potęgi, to promień olśniewający wprawdzie polskie społeczeństwo, lecz promień za słaby, aby z cudzoziemskimi zmieszany barwami, olśnić mógł ludzkość całą.

I mówią dalej ludzie, że pióro jego jest jako rylec rzeźbiarza, a postacie jego, jak bryły cudowne; mówią, że fantazja wielkiego poety zaludniła ziemię rojem starców i bojów ogromnych, wstrząsających nerwy; mówią, że blaskami natchnienia idealizuje potężnie cały świat zmysłowy, że tworzy wspaniałe symfonie barw, kształtów i ruchów, że jest w królestwie literatury największym artystą.

I ludzie dobrze mówią, ale nam się wydaje, że w poezji Sienkiewicza jest moc inna jeszcze, moc silniejsza i przenikliwsza od wszystkich blasków sztuki.

Jest on dzieckiem czasu swojego i czasowi temu haracz swój spłacił w tragicznych zgrzytach i melancholiach Płoszowskiego, ale jest zarazem górnikiem, który schodzi w najprzepastniejsze głębiny dusz ludzkich i tam uchem mędrca łowi jakieś szmery tęsknot tajemnych i dążeń, których nikt jeszcze sobie dokładnie uświadomić nie może, w których jednak tkwi klucz wielkiej zagadki, słowo odrodzenia, fundament przyszłości.

Zrozumiał on, że po szalach rafinerii estetycznej, po orgiach bezdogmatyzmu, po samodręczeniach ducha ludzkiego, po wszystkich spazmach, lubieżnych dreszczach, nerwowych bachanaliach stulecia, gdzieś w najtajniejszych kryjówkach jestestwa ludzkiego odzywa się cicha, jak oddech półumarłych ludzi, modlitwa o wielki spokój i wielkie ukojenie. Jeszcze na ustach huczy śmiech pijanego szaleńca, jeszcze się dusza rwie do upojeń haszyszowych, jeszcze się tarzać lubi w Petroniuszowych sympozyjach i cyniźmie dumnych półmędrków, ale już zdala wionęło

ku nam czarem najśłodszym słowo Chrystusowe: „Błogosławieni cisi, albowiem ich jest królestwo niebieskie!“

Jesteśmy, jako morze, które orkan do dna przewraca w namiętnych konwulsjach, słuchamy z jakąś bolesną rozkoszą pieśni, miotających nami jak wichur i otwierających nam duszę do najskrytszych głębi. Wielkie słońca ideałów pogasły w górze, a my z pustymi piersiami, z grymasem przesyty spoglądamy, jak purpura zachodu, wielki fajerwerk natury, czerwieni nieba krawędzie. Wtem on przychodzi, wielki swym spokojem, i rozlewa ogromną falę epizmu, gdzie prawie wszystko jest jasne i proste, majestatyczne w swych namiętnościach i cnotach, wiarą potężne, potężne miłością, rzeźwe, zdrowe, a ze spiżu wykute, niby dumy gęslarza starożytności. I oto my, przesycony muzyką chorych dźwięków i barw, zmęczeni sztucznych wrażeń pogonią, ze spalonymi absyntem życia i sztuki wargami, idziemy do niego, jak łódź o żaglach podartych do pewnej przystani, idziemy po kąpiel zdrową i czarę wody krynicznej, aby przepłókać usta spieczone i ciała zwiędłe odmłodzić.

Ten śpiewak bojów rycerskich i krzyżów tryumfujących odgadł utajone pragnienia dusz ludzkich i pojął dobrze, że nam, zatrutowanym w cieplarnianych woniach i jak storczykowe kwiaty pomiętym i powyginanym, trzeba fal świeżego powietrza, słońce wiosennych i zdrowych soków ziemi—rodzicielki. Zrozumiał, że przed oczy istnień karłowatych, przytulonych w pyle, trzeba wzniesić obeliski granitowe, abyśmy przeżyć mogli się ku nim i po „miarach krawca“ znów w miary Fidyaszów uwierzyć. Poznał wreszcie, że dusze, wyjąłowione czczym bezdogmatyzmem i niezaspokojone muzyką uczt Neronowych, tęsknią do wielkiej gotyckiej świątyni, gdzie kłękąby mogły przed ołtarzami, wierzyć i kochać.

I oto zstąpił w niziny ludu i stamtąd wionął zdrowiem ku szczytom kultury, a potem w starych księgach poszukiwał rycerzy w zbrojach husarskich, tytanicznych walk i uczuć silnych jak śmierć, a w końcu stanął pod krzyżem Chrystusowym, otoczył się rojem męczenników wielkich, i szedł po ziemi okrzyk: „Pójdźmy za Nim!“

A ludy patrzyły chciwie, jak ginął Podbięta z pieśnią „Pod Twoją obronę“, jak Wołodyjowski zstępował z lontem zapalonym do prochowych lochów, jak w ogrodach Nerona z psalmami na ustach umierali w morzu płomieni męczennicy Krzyża. Po uśmiechach

i półśmiechach literatury schyłkowej zabrzmiał szeroki, zdrowy śmiech Zagłoby, po historycznych erotyzmach Maupassant'ów i Bourget'ów rycerska miłość z szarfą na ramieniu wstąpiła w szranki turniejowe, po bladych, przeczulonych, staczających się co chwila z wyżyn ekstazy w mroki omdlenia melancholikach, ukazał się hufiec mężów z żelaza, twardych i nieugiętych, po lwicach buduarowych i półdziewiczach—kobiety ze skrzydłami aniołów, po dysonansach zwątpień, poświstach egoizmu i lamentach pustki duchowej—wiara natchniona, pnąca się w niebo po krzyżach i stosach.

Lux in tenebris—ku nowemu światłu wyciągamy ręce, bo czujemy wszyscy, że od tego światła bije moc uzdrowienia. Może ono już nie uleczy duszy współczesnej, na której zbyt głęboko wypalone zostało piętno schyłkowe, ale u progę nowego stulecia daje nam chwilę złudzeń młodości i daje wiarę, że na jaśniejszych szlakach stapać będą potomni.

Więc za to, mistrzu nasz wielki, żeś najcudowniejszym blaskiem poezji rozświetlił szarość istnienia, za to, żeś ku pięknu polskiemu zwrócił oczy świata całego, za to, że jesteś krynicą przezrystą, z której znużeni wędrowcy czerpią zdrowie i młodość, za to, że pochodnią geniuszu zbłąkane masy z trzęsawisk na proste wiedziesz gościńce, za to, że u bram jutra wskazujesz nam krzyż Chrystusowy, symbol miłości i poświęcenia, za to wszystko cześć tobie i chwała. Zdobyłeś więcej, niż hołdy krytyki, niż podziw Europy: zdobyłeś miłość społeczeństwa swego.



Henrykowi Sienkiewiczowi

powieść polska.



Akiedyś przyszedł do mnie w dniach młodości,
Pnąc się, jak junak, na sławy krążganek,
Mojemu wianu nie jeden zazdrości,

Bo można panią byłam wśród ziemianek
I niepoślednich już dziedziczką włości.

Lecz tyś mnie ujął, jak rycerz-kochanek,
Tryumfalnymi powiódł z sobą drogi
Z pańskiego domu na królewskie progi.

* * *

Naprzód z ufnością, jak na łono matki,

Garść kwiatów polnych złożyłeś w ofierze:
Liliowe dzwonki, jaskry i bławatki,

Z których los co dnia dań okrutną bierze.

A takieś blaski tchnął w te biedne kwiatki

I w rosy krople przystroił tak świeże,

Że skroń mą kryją, jak perłę zawieją,

A w swej prostocie przeze łzy się śmieją.

Potem mi dałeś płaszcz tkany wzorzyste

Z życiowej przędzy,—na nim dusz bukiety:

Te, co jak narcyz, chylą białe kiście

Ku swemu w wodzie odbiciu,—kobiety

Śnieżne jak lilie, płonące ognieście

Jak róże,—mężę biegnący do mety...

I pokazałeś, czem ta dusz gromada

Silna i słaba, szkariatna i blada.

* * *

I uderzyłeś w pierś góry olbrzymiej,

Co nad pokoleń łańcuchem się zwiesza,

Jak wulkan, ogniem wybucha lub dymi,

Tłoczy i światła błyskami pociesza.

Ale—zbratany z duchami wielkimi—

Tyś w pierś jej laską uderzył Mojżesza,

I z łona skały popłynęła struga

Dyamentów sznurem, czysta, wartka, długa.

I przyszli obcy do ogrójca mego

Z twojego źródła czerpać wody żywej.

Szli obojętnie, dziś z zachwytem biegą,

Chłoną twe dzieło i wołają:—„Dziwy!

Z zapomnianego uroczyska tego,

Z tej głuszy mistrz nam się zjawił prawdziwy!

Skąd w nim czar taki, świetność i moc ducha?“

I dziś świat cały, gdy ty mówisz, słucha.

* * *



Litwos (Henryk Sienkiewicz).

Według rys. St. Witkiewicza.

A mówisz pięknie!—Nie tak się wspaniale

W pałacach włoskich pstre marmurów złomy

Piętrzą, jaśniejąc w pełnej słońca chwale,

Jako twe słowa, podobne ruchomej,

Żywej wód toni,—bo jak morskie fale,

To z hukiem toczą swych wałów ogromy

Na brzeg, to—ciche, rzewne, lazurowe,—

Pieszczą, jak miękka dłoń kochanka głowę.

A mówisz mądrze!—Rwące nurty ducha

Zgłębiłeś duchem: smutek i wesele,

I te, skąd płynie słoneczna otucha,

I skąd—ból czarny... Choć widzisz zła wiele,

Życie dla ciebie to nie męka głucha,

Ni ślepy trafu rzut,—bo w twojem dziele

Wyżej nad walkę żądz, losu zawilość,

Jest Bóg, jest wiara, nadzieja i miłość.

* * *

Mój bohaterze! iż gwieździe na czole

Mojem przed światem przyćmić się nie dałeś,

Nowym ją złocąc blaskiem, i na chwałę—ś

Ludzkości loty rozwinął sokole,

Wciąż wyżej dążąc; za czyn twój i wolę,

Że mogąc—wielkim stać się też umiałeś;

I żeś najpierwszy w lat ostatnich dobie,—

Berło nad sercem swym oddałam tobie!

22 grudnia 1900 r.

IGNACY BAŁIŃSKI.

Miejsce urodzenia

Henryka Sienkiewicza.



Jubilat dzisiejszy przyszedł na świat dnia 4-go maja 1846 roku w powiecie Lukowskim, w Woli Okrzejskiej stanowiącej jedno z dóbr dziedzicznych rodziny Cieciszowskich v. Cieciszewskich. O rodzie tym bez przesady „gęsto“ piszą herbarze i historycy.

Wywodzą go z Cieciszewa, niedaleko Warszawy, i wspominają już w r. 1406 Mroclawa z tego gniazda, podczaszego czerskiego, a potem przez szereg wieków przewijają się z tem nazwiskiem wyżsi i niżsi urzędnicy ziemscy i koronni, sędziowie nursey, liwscy i płoccy, starostowie grabowieccy i mielniccy, chorążowie, podczaszowie, podkomorzowie, cześnicy, stolnicy, podstolowie i pisarze liwscy, łowczowie czerscy i liwscy, pisarze wielcy koronni, kasztelanowie liwscy, czerscy i połanieccy, szambelanowie i szefowie gabinetu J. K. M. Kilku poświęciło się służbie bożej; jeden z takich był profesorem Akademii wileńskiej i kaznodzieją królewskim, ale najwyżej wznosił się w zasługi i słuszne zaszczyty Kacper Kazimierz, czterdziesty z kolei biskup kijowski, w ostatnich latach życia arcybiskup i metropolita mohylowski. Rzadko komu przypadły w udziale tak wysokie pochwały od surowego w sądach Juliusza Bartoszewicza, jak temu „człowiekowi zacnemu przywiązanemu do ojczyzny i kościoła, ojcę ludu.“ „W całej masie biskupów Stanisławowskich—pisze Bartoszewicz—ledwie dziesięciu na dwustu można by znaleźć pasterzów wedle sumienia, gorliwych i zacnych... Cieciszewski należał do liczby tych dziesięciu.“

Z rodziną tą skojarzyli się pod koniec wieku zeszłego Kicińscy, przez Piusa, kasztelana połanieckiego, oraz Lelewelowie, przez Teresę, która wyszła za Adama Józefa Cieciszewskiego; wielki historyk Joachim. lata dziecinne i pacholęce przepędził w ich dobrach dziedzicznych, a wśród różnorodnych zajęć, zdumiewających na wiek tak młody, zbierał na łanach Okrzei, Woli Okrzejskiej, Kiełczewa, Jarczewa i Wojcieszkowa, może i pobliskich Maciejowic — piosnki ludowe, które długie lata przechowywał z pieczołowitością brat jego Prot, aż niedawno dopiero ukazały się w druku.

Z nazwiskiem tej rodziny połączyło się też nazwisko autora *Trylogii* i *Krzyżaków*, którego matka, Stefania, była z domu Cieciszewska, i w jej rodzinnej Woli ujrzał świat Henryk Sienkiewicz, w pobliskiej zaś Okrzei był ochrzczony. W Woli Okrzejskiej spędził Sienkiewicz tylko dziecinne lata, później bowiem przebywał stale w Grabowcach, wsi położonej w tej samej okolicy, a należącej do ojca autora „Trylogii.“ Wieś rodzinną jednak odwiedzał autor bardzo często.

Wola Okrzejska w wieku XVI i na początku XVII była własnością Samborzewskich, potem Leśniowolskich, dalej spowinowaconych z poprzednimi Firlejów; w r. 1683 należała do Rostworowskich, wreszcie przez Katarzynę z Rostworowskich Kazimierzową Cieciszewską przeszła do nowej rodziny. Na gruntach tej wsi zaczyna się rzeczka Okrzejka, która przepływa następnie pod wsią parafialną Okrzeją i historycznymi Maciejowicami.

Okrzeja, dawniej miasteczko, obecnie wieś, posiada kościół parafialny, datujący swe istnienie od r. 1469, gdy właścicielem Okrzei był Maciej Groth, podkomorzy ziemi Lubelskiej. Kościół ten zostawał długo w ręku różnowierców, i dopiero jeden z Samborzewskich w drugiej połowie wieku XVII zwrócił go katolikom. W roku 1726



Wieś Okrzeja.



Wola Okrzejska: oficyna dworska.



Wola Okrzejska: dom, w którym urodził się Henryk Sienkiewicz.

Fot. dla „Tygodnika“ A. Karoli.

drewniany kościół fundacji Grotha zgorzał; przez lat kilkadziesiąt odprawiano nabożeństwo w tymczasowej kaplicy. Odbudowała go wspomniana już wyżej Teresa z Lelewelów Adamowa Cieciszewska, zgasła 10 września 1757 r., ciotka Joachima, który czas jakiś uczył się u tamecznego proboszcza, Leopolda Moroza, Pijara (zm. 1831 r.). Kamień węgielny pod odbudowę kościoła położył dnia 7 lipca 1790 r. biskup Kacper Kazimierz Cieciszewski, nabożeństwo wprowadzono w r. 1793, konsekracji dopełnił tenże biskup w sierpniu 1806 r. Uroczystości tej był obecny Paweł Woroniecz, naówczas kanonik kijowski, autor „Sybilli,” i obchód ten pięknym wierszem uświetnił.

W kościele okrzejskim znajduje się w wielkim ołtarzu obraz Wniebowzięcia Pańskiego, pochodzący z kościoła ks. ks. Dominikanów Obserwantów warszawskich (istniejącym ongi na miejscu późniejszego pałacu Stanisława Staszyca); inny obraz, „N. P. Marya z Dzieciątkiem,” pendzla znakomitego Smuglewicza, jest darem biskupa Kacpra Cieciszewskiego; wreszcie jest tam starodawna piękna grupa, z drzewa rzeźbiona, wyobrażająca Ukrzyżowanie, również dar rodziny Cieciszewskich.

Prochy wielu członków tego rodu spoczywają w grobach kościelnych i katakumbach przy tej świątyni. W roku 1805 złożono tam zwłoki Konstancyi z Jauchów Lelewelowej, babki Joachima, zmarłej 29 września tegoż roku; w r. 1815 spoczęła tam fundatorka kościoła, Teresa Cieciszewska, wreszcie w 1873—Stefania z Cieciszewskich Sienkiewiczowa, matka Henryka.



DZIEŃ SIENKIEWICZOWSKI

W WARSZAWIE.



Komitet, zajmujący się jubileuszem Henryka Sienkiewicza, obmyślił ostatecznie program uroczystości na dzień 22-gi grudnia.

Obchód rozpocznie się nabożeństwem w kościele św. Krzyża o godz. 11-ej z rana. Mszę będzie celebrował ks. biskup Ruszkiewicz. W czasie nabożeństwa „Lutnia“ odśpiewa szereg pieśni.

Ciąg dalszy uroczystości odbywać się będzie w wielkiej sali Ratusza. Tam mianowicie nastąpi wręczenie jubilatowi aktu darowizny Oblęgórka. Potem grupy poszczególne składać będą Sienkiewiczowi swoje dary. Między innymi komitet Kasy literackiej wręczy jubilatowi dyplom na członka honorowego Kasy.

Następnie o godz. 7-ej wieczorem rozpocznie się przedstawienie jubileuszowe w teatrze Wielkim. Na program złożą się: prolog („Dożynki“) przez Maryana Gawalewicza i „Zagłoba swatem,” jednoaktowa sztuka sceniczna, specjalnie na dzień jubileuszowy napisana przez Sienkiewicza. Podczas anraktów—deklamacya.

Po „Swatach Zagłoby,” w których rolę tytułową odegra pierwszy komik naszej sceny p. Mieczysław Frenkiel, odbędą się żywe obrazy, pod kierunkiem artystów-malarzy. Tematów do obrazów dostarczą najcharakterystyczniejsze sceny z dzieł Sienkiewicza.

Dzień uroczysty zakończy raut w sali Resursy Kupieckiej, który wydaje Komitet Kasy literackiej.



Zagłoba na scenie.



Na parę tygodni przed obchodem jubileuszowym Sienkiewicza, do wszystkich prawie redakcyi przychodziły stopy listów następującej mniej więcej treści:

„Jako długoletni prenumerator, sędzę, że zdobyłem sobie prawo zakolatania do Szanownej Redakcyi z prośbą o wyjednanie mi za jej pośrednictwem biletu na uroczystość Sienkiewiczowską. O cenę i miejsce mi nie chodzi, abym tylko był, patrzył i słuchał własnymi uszami wszystkiego, co tam będzie. W nadziei, iż życzenie moje spełnionem zostanie, podaję swój adres.

Z szacunkiem X.“

Z drugiej koperty wypada wonny chiński bilecik, zapisany wytwornym kobiecym charakterem:

„Redakcyja Tygodnika tak żywo zajmuje się Sienkiewiczem, iż sędzę, że za jej pośrednictwem najłatwiej mi będzie otrzymać parę biletów wejścia, jeżeli nie na całą uroczystość jubileuszową w dniu 22-gim grudnia, to przynajmniej na wieczorne przedstawienie w teatrze.

„Chciałabym jedna z pierwszych rzucić mistrzowi naszemu oklaski i kwiaty za nowe arcydzieło, jakim nas obdarza.

„Zapowiedziana komedyja na temat Zagłoby musi być znakomita, skoro Sienkiewicz przeznaczył ją sam na uświetnienie tak wspaniałej uroczystości.

„W nadziei...“ i t. d., i t. d.

Trzecia kartka, na prostym, nieglansowanym papierze, gęsim piórem pisana, zaczęła się od słów:

„Do stópek się ściele i o wysłuchanie proszę.

„Jakoże mi gdzieindziej protekcyi szukać i o łaskę prosić, jeśli nie u waszmość panów, którzy Sienkiewicza *gloryę* po świecie roznosicie?

„Żywota mi już niedługo na ziemi. Bez mała *unum seculum* się przeżyło, a złe choróbka obiadły i gryzą. Lat dwadzieścia z łóżka nie wstaję i z domu nie wychodzę.

„Ano piszecie o jubileuszu Sienkiewicza i o tej komedyi, co sam dla *theatrum* ułożył.

„Ma tam być pan Zagłoba.

„Jakoże mi przed śmiercią nie posłuchać ostatnich krotofilu cnego rycerza, co z człowieka reumatyzm i podagrę wypędza ucieszną mową swoją?“ i t. d., i t. d., i t. d.

Z kilkudziesięciu listów następnych, podpisanych przez długoletnich prenumeratorów każdy w tej lub innej formie wyrażał prośbę o wyjednanie biletów na jubileuszowe obchody.

Gdyby przynajmniej kończyło się na korespondencyi! Ale wiele osób przychodziło osobiście, prosząc o pośrednictwo i poparcie u komitetu. Prócz tego przybywały liczne listy z prowincyi z zapytaniami o treść najnowszego utworu scenicznego autora „Trylogii.“

Redakcyja „Tygodnika,“ pragnąc choć w części zaspokoić usprawiedliwioną ciekawość swoich czytelników, poleciła mi zapoznanie się dokładne, i jeśli można „naoczne“ z utworem p. t. „Zagłoba swatem,“ z którego próby odbywały się na scenie teatru. Zrobiłem, co było w mocy dziennikarza, i dopiąłem swego.

W sam dzień przedstawienia jubileuszowego, uprzedzając wszystkie sprawozdania, mogę podać zupełnie dokładne streszczenie sztuki, w której autor wprowadził na scenę jedną z najlepszych i najpopularniejszych swoich kreacyi.

Jakim sposobem doszedłem do tego? Mniejsza o to.

Snujcie przypuszczenia, a ja tymczasem wprowadzam was do wielkiej starożytnej komnaty, w której sędziwy żołnierz Cypryan rozmawia ze smętną dziewczoją, przedającą len na kołowrotku.

Śliczna Zośka skarży się przed dzielnym wiarusem na swoje troski. Ojciec nie pozwala jej wyjść za mąż za młodego wojaka, Jana Zarembe, którego miłuje całym sercem, lecz wydaje ją gwałtem za jakiegoś Młynika, syna palestranta.

Gdyby chociaż był grzecznie zrekurował pierwszego konkurenta, ale on wpadł w gniew! Nic nie było w stanie go przekonać: tupał nogami, przeklinał, groził jej, gdy próbowała z nim mówić.

— Za co tatuś Zarembów nienawidzi?— pyta skłopotana Zośka, a stary Cypryan tłumaczy jej całą historję.

— Ojciec twój, nim się z twoją matką ożenił, chciał brać pannę Kuleszankę na Podlasiu, w której okrutnie był rozmiłowany. Ba! cóż z tego, kiedy był i drugi zalotnik, towarzysz pancerny, stryjeczny stryj tego właśnie Zaremby, który się w tobie kocha. Naszym palestrantom nie nowina szabla, ale twój ojciec był bojaźliwego od młodości serca; zdrowia nie miał, siły nijakiej, chowały go od

dzieciństwa niewiasty, i poprawdzie... nie z szabli wyrósł wasz ród, jeno z kancelaryi... Jużci tak, bo twój dziad był sekretarzem u księdza prymasa i za jego protekcyą indygenat otrzymał... że to po łacinie expedite umiał, co podobno w Holandyi zwykła rzecz. Ten Zaremba tedy, który był frant i wielce do szabli wartki, bardzo sobie twego ojca lekceważył i na pośmiewisko go wystawiał... Gadają, że go w smole umoczył, a potem w pierzu utarzał. No, nie wiem, ale to wiem, że Kuleszankę wziął, a twój ojciec dopiero w cztery roki później z twoją matką się ożenił... Rozumiesz?

Zośka nie zrozumiała, twierdzi bowiem, że:

— Zastryjecznego stryja nikt nie odpowiada.

Cypryan zastanawia się nad tem: co będzie? Stary Olivius, ojciec Zośki, gada wciąż, że pierwemu mu na dłoni włosy wyrosną, niż jakiemu Zarembe córkę odda, a Zaremba jeszcze wczoraj na jarmarku mówił im, że: „Wszystko furda!... i jak mnie tu żywego waćpan widzisz, tak nie dziś, to jutro Zośka będzie moją!“

— Powiedział tak pan Zaremba?— pyta Zośka, przechodząc nagle od łez do śmiechu.

Gawędę ich przerywa niespodziewane ukazanie się młodego wojaka, który, całując ukochaną swoją po rękę, woła, że żyć bez niej nie może.

Cypryan odchodzi. Zaremba, padając na kolana przed Zośką, żąda przysięgi, że choćby tu sąd ostateczny nastał, choćby nie wiem co zaszło, ona się nie złąknie, nie straci serca, zaufa mu.

Tak głośno przytem woła:— „Wesele chcę uczynić! Wesele z tobą, Zosiu! Niech mnie kule biją! Wiwat pani Zarembina! Zdrowie moje! Żywot mój!“— że, zwabiona hałasem, wchodzi do komnaty cała służba, z pannami Marcyanną i Weroniką, dwiema rezydentkami, krewnymi nieboszczki żony Oliviusa, na czele.

Obie stare panny, gwałtowne przeciwniczki Zaremby, a protektorki Młynika, stają przerażone na widok śmiałego zawadyki, który znalazł się tutaj, chociaż wzbroniono mu przestępować progi tego domu.

Zaremba, szepcząc do Zosi: „Nie bój się!“ klęka przed Marcyanną i Weroniką i oznajmia, że, wzgardzony przez córkę Oliviusa,



Kościół we wsi Okrzeja, w którym Sienkiewicz przyjął chrzest św.
Zdejmował dla „Tygodnika“ A. Karoli.

pragnie wyprosić sobie rękę której z tych dwóch ślicznych pańnek.

Marcyanna i Weronika słuchają, zdumione, on tymczasem mówi głośno, z animuszem:

— Gdym tu był raz ostatni, i gdy mnie jak Cygana, nie jak żołnierza i szlachcica przyjęto, przysiągłem sobie, że właśnie z tego domu muszę na złość żonę wziąć, i parol sobie dałem, a słowo żołnierskie — święta rzecz!

Ojciec Cypryan ma postanowić, która z dwóch pań zostanie jego żoną. Obadwaj mężczyźni wychodzą. Zośka wybiega również, wołając:

— Nie rozumiem nic. I w głowie mi się kręci. O Boże!

Zostają na scenie dwie siostry, rozpoczynając sprzeczkę, którą przerywają im wkrótce Cypryan i Zaremba.

— Zostawcie nas, waćpanny, gdyż o ważnych rzeczach mamy naradę — przemawia stary wojak.

Panny dygają i odchodzą.

Wówczas to dowiadujemy się o uknu-tym podstępie, który ma dać Zarembe Zośkę.

Głównym bohaterem spisku jest Zagłoba, który objąwszy chwilową komendę nad Tatarami i lekką chorągwią niedaleko dworu Oliviusa, ma napaść na niego z wojskiem swoim.

— A jestżeś pewien, że Olivius nie widział nigdy pana Zagłoby?—pyta Cypryan.

— Zupełnie pewien. Pan Zagłoba zna go tylko z reputacji, którą ma nieszczerólną, bo powiadają: tyran w domu, a człek bojaźliwego serca—odpowiada Zaremba.

Młody wojak biegnie do proboszcza, którego pragnie również wciągnąć w spisek.

Cypryan, chwytając się za głowę, woła:

— Hej, co się tu będzie działo!

Tymczasem wchodzi: Marcyanna, Weronika, a po chwili ze złością wpada i Olivius, któremu powiedziano, że Zaremba jest w jego domu.

— Zakazałem waćpanu. Rozbój, rabunek!... vis armata, raptus puellae!... latrocinium!... Trybunał waści nauczyciel! — krzyczy, szalejąc z gniewu.

Dwie rezydentki zastępują mu drogę.

— To o nas chodzi—mówi Weronika.

— Nie zamykaj nam losu! — woła Marcyanna.

Olivius nic nie rozumie. Nareszcie Cypryan tłumaczy mu, że zgodnie z wolą ojca, Zośka wypędziła młodego szalawilę, a on natomiast przybył prosić o rękę jednej z tych dwóch pań.

— A na miły Bóg!... Toć żebym sto lat myślał, jak nad Zarembami mam się zemścić, jeszczebym lepszej zemsty nie wymyślił!—woła Olivius, chwytając się za głowę.

Obie panny i Cypryan robią mu wymówki za wyrzucenie Zaremby i spostonowanie przez to całego stanu żołnierskiego. Gdy tak idzie żwawo kłótniwa gawęda, wchodzi na scenę najpierw Zośka, przywołana przez ojca, a następnie za nią wpada Zaremba, wołając:

— Ludzie, ratujcie się! Śmierć nad nami! Naszych Tatarów litewskich pobuntował bej, z Krymu nadesłany. Biją, palą, ści-

nają!... Kraj w ogniu! Ratujcie się! Zaprzęgać, zaprzęgać!

— A pan Zagłoba?—pyta Cypryan.

— Cofnął się przed przemocą! — odpowiada Zaremba.

Za sceną wkrótce dają się słyszeć okrzyki: „Ała, Ała!“—i kilka strzałów.

Olivius kłapie zębami ze strachu; wtem drzwi otwierają się naocież; wchodzi Zagłoba, jako tatarski bej, a za nim Tatarzy.

— Ała! Bismilla! Ciemno tu... Żagwi!—woła Zagłoba.

A gdy kilku Tatarów wniosło pochodnie, dodaje:

— Domu ni zabudowań dziś nie palić. Chcę mieć dach nad głową dla siebie i dla was. Ludzi powiązać, a jutro—tak!...

I przeciąga palcem po gardle.

— Mi-ło-sier-dzia!—jęczy Olivius, kłapiąc zębami.

Zagłoba siada po turecku na sofie i każe przyprowadzić sobie niewiasty.

— Te dla chana!—mruży, przypatrując się Marcyannie i Weronice. — A tamta dla mnie—dodaje, wskazując Zośkę.

Panny wzdychają, w trakcie tego podnosi się znowu hałas. Kilku Tatarów wpada, oznajmiając, że w plebanii schwytali rycerza, a z nim księdza i piętnastu żołnierzy.

— Co z nimi czynić?—pyta jeden z nich.

— Szyku, bzdury, puku, char, char! — woła Zagłoba niby po tatarsku, a później dodaje:

— Jeśli jest w domu kaplica, to zamknąć księdza w kaplicy. Ponieważ dziedzic się nie bronił, okażę mu łaskę i pozwolę wypowiedzieć się przed śmiercią.

— A co uczynić z rycerzem?

— Stawcie go tu!—nakazuje Łykaj-bej Zagłoba.

Tatarzy wprowadzają związanego Zarembe. Na jego widok domniemany chan wpada w pełne radości zdumienie.

— Zaremba, mój pobratymiec!—woła.—Ktoby tknął tego oficera, każę mu głowę uciąć, a potem na czworakach chodzić... Wiedźcie, że on mi życie pod Kamieńcem ocalił, a potem my wodę na szable leli i pobratymstwo sobie zaprzysięgli.

— Wolnyś jest — dodaje w jakiś czas później, zwracając się do młodego rycerza.—A jeśli twoja żona wpadnie mi kiedy w ręce... Ała!... i ona będzie wolna, a jeśli twój ojciec albo teść, bismilla!... i on będzie wolny, i twoja czeladź, i twoja majątność!... Łykaj-bej jedną ma gębę i jedno słowo.

W dalszym ciągu rozgrywa się szereg wesołych epizodów. Stare panny, którym Zaremba powiedział, że tę z nich weźmie za żonę, która więcej razy powie: „Jedna wrona bez ogona, druga wrona bez ogona i t. d.“—ćwiczą się ciągle w wyliczaniu wron, mających być miarą długości tchu.

Zagłoba pije wino i klnie się na „rany boskie“, czem dziwi Oliviusa, któremu Zaremba tłumaczy, że bej tatarski nauczył się tego w niewoli polskiej.

Następnie Zagłoba wypytuje Zarembe o majątek. Zaremba odpowiada, że ma dzierżawinę, ale zresztą *fiut* — i dmucha na dłoń. Na to rzekomy bej tatarski woła:

— To nietylko cię uściskam, ale ci się pokłonię, bom ja turecki poddany, a ty—*turecki święty*.

Później zaś, dowiedziawszy się, że Olivius odmówił Zarembe ręki córki, Zagłoba wpada w gniew i krzyczy:

— Tureckiemu świętemu ubliżył, przeciw wierze pobluźnił! Noża, jatagana, łyka, ognia! węgli! siarki! Ha, skurczybyku!

Końca wesołej komedii łatwo się domyśleć. Olivius błaga Zarembe, aby go ratował, biorąc Zośkę za żonę.

— Chciałem stałości waszej wypróbować. To było tylko dla próby, nic, tylko dla próby!—woła, klekocząc zębami, i zaklina Łykaj-beja, aby wyswatał młodą parę.

— Miłujecie się? — pyta domniemany bej Zaremby i Zośki.

— Tak!—odpowiadają oboje.

Olivius błogosławi ich, sam pierwszy wpadając na myśl, że ukryty w kaplicy ksiądz może im dać ślub.

Po dopełnionym akcie w ostatniej scenie, która według zwyczaju zgromadza wszystkich, Łykaj-bej odsłania przyłbicę.

— Poznaj mnie i moje fortele—*Zagłoba sum*—mówi do Oliviusa, a gdy ten, chwytając się za głowę, grozi trybunałem, krotofilny szlachcic wzywa całe otoczenie na świadków, że był proszony o wyswatanie młodej pary.

Olivius zaczyna spostrzegać, że ośmieszylby się, wyprowadzając przed sąd sprawę, a z nią i tchórzostwo swoje; Zagłoba tłumaczy mu przytem, iż dobrze mieć żołnierza w rodzie.

— Przyjdzie wojna, przyjdzie starość... przyjdzie niedołęstwo... kto cię od przygody uchroni?

— Może i prawda. Co robić? Trzeba pobłogosławić.

— Niech wam Bóg szczęści, dzieci!—woła były palestrant do świeżo poślubionych.

Służba już nakryła w sąsiedniej komorze do wieczery. Udobruchany ojciec zaprasza na nią.

— A huknąć mi tam wiwat z samopalców! Niech żyje młoda para! — krzyczy Zagłoba.

— Niech żyją!—powtarza Olivius, zapraszając wszystkich na wieczerę.

Tak się przedstawia w skróceniu treść jednoaktówki Sienkiewicza, której ocenę krytyczną pozostawiamy sprawozdawcy teatralnemu „Tygodnika.“

Zwracamy tylko uwagę na doskonały rysunek p. Konstantego Gorskiego, robiony z natury i wystawiający ostatnią scenę sztuki, kiedy Zagłoba odsłania swoje incognito.

Pośrodku nieco w głębi widzimy postać krotofilnego wojaka (p. Frenkiel). Na lewo stoi para zakochanych: Zaremba (p. Żelazowski) i Zofia (p. Tekla Trapszo). Na prawo tchórzliwy palestrant, Olivius (Wojdałowicz) chwytając się za głowę, zrozumiał, że w jaki popadł samotrzask. Za nim stoją dwie rezydentki: Marcyanna (Bogusławska) i Weronika (Żółkowska), a w głębi widać tłum żołnierzy, Tatarów i domowników z pochodniami.

Asmodeusz.





ZGROMADZENIE OGÓLNE CZŁONKÓW WARSZAWSKIEJ KASY PRZEZORNOŚCI I POMOCY
DLA LITERATÓW I DZIENNIKARZY, UCHWAŁĄ Z DNIA 4 KWIETNIA 1900 ROKU, NADAŁO

Henrykowi Sienkiewiczowi

GODNOŚĆ CZŁONKA HONOROWEGO KASY.

Dyplom na członka honorowego, wręczony Sienkiewiczowi dnia 22 grudnia 1900 r., przez komitet kasy literackiej.

KOMITET:

	Stanisław Krzemiński	Stanisław Libicki	Julian Ochorowicz
Adam Zakrzewski	Jan Gadomski	Zygmunt Wasilewski	Antoni Donimirski
		Henryk Konic	Ignacy Matuszewski

Adam Krechowicki.

FIAT LUX!

OBRAZ HISTORYCZNY Z CZASÓW JADWIGI I JAGIEŁŁY.

IV.

301



dy duchowni z kazalnicy, z rozkazu Ojca Ś-go, głoście poczęli wojnę świętą z Tatarami, stary Przeclaw obudził się z martwoty.

Poszedł do Nawoja i tak mu rzekł:

— Bóg wysłuchał prośb moich... Zawszem go błagałem, iżby mi pozwolił rycerskie kości w świętej wojnie położyć... I oto taka wojna jest. Idę! a wy błogosławcie, ojcze!

Nawój z podziwem patrzył na odmłodzoną nagle postać rycerza i twarz jego, jaśniejącą zapałem. Rzekł jednak:

— Baczcie na wiek swój... starzy jesteście...

— Zbroję i miecz udźwignę! — żywo przerwał Przeclaw. — A lękałem się jeno tego, iżby śmierć nie zgnębiła mnie tu... w przy murnym dwórku... w nędzy mej i opuszczeniu, pośród goryczy i żalu, który psował mi duszę. Bywały inne walki, alem tam nie szedł, bom z chrześcijany wojować nie chciał. Teraz zaś wojna jest święta z niewiernym Tatarstwem. Tedy w niej głowę dam, a wy, ojcze, módlcie się, iżby dusza moja z tych mroków śmiertelnych i tęsknicy w światłość wiekiuszą szła, przez miłosierdzie Boże!

To rzekłszy, stary rycerz na kolana padł, a Nawój z rozczuleniem głębokim, wzniosłszy ramiona do góry, błogosławił, potem zaś z ziemi go podniósł i do piersi wzruszonej cisnął w milczeniu.

Stamtąd Przeclaw biegł do Spytka, który ostatnie przygotowania czynił.

— Ano, wojewodo! — zawołał: — twojej młodości moja starość towarzyszyć chce... Waszego domu jam zdawna sługa... Pójdę z wami!...

Pan z Melsztyna spojrział na niego bystro smutnymi oczyma, bez zdziwienia.

— Gdyby — rzekł — na wyprawę tę szła jeno taka, jak moja, nieszczęsna młodość i taka, jak twoja, posepna starość, które do stracenia nie mają nic i na nic nie oglądają się, albowiem postradali już wszystko, zginęłoby Tatarstwo! Tedy chodźmy razem, Przeclawie... będziesz podskarbnym moim... Chodź!...

I wyruszyli. Przeclaw był rad i dziwnie pogodny, bo rzucał za sobą pustkę martwą, a czuł, że idzie ku wyzwoleniu; Spytko niósł z sobą rozpacz i za sobą rozpacz zostawiał, więc chmurny był i zgnębiony, a przemocą odwracał myśli od Elżbietki.

Z pod Kijowa, kędy na lewym brzegu Dniepru stał Witold obozem i kędy ze wszech stron mnogie ścigało rycerstwo, wielkim pochodem wyruszone dalej przez Perejasław, Czumaki, Łukomłę, gdzie przebyto rzekę Sułę, a pod Hołtwą — Psołę, i wstąpiono na wyżyny, skąd daleki rozciągał się widok na rzekę Worskłę i ogromną równinę po za nią, Gołę Pola zwaną. Tam wstrzymano się, albowiem wielka armia Witoldowa znużona była szybkim a nieprzerwanym pochodem.

Wielki książę był pełen zapału i nadziei zwycięstwa. Kiedy jeszcze pod Kijów

przybyli do niego posłowie od najwyższego tatarskiego Hana, Tymur Kutłuka, gotowi pokój zawrzeć w zamian za wydanie zbiegłego hana ordy Kapczackiej, Tochtamysza, Witold warunek ten ze wzgardą odrzucił.

— Tochtamysza — odparł dumnie — nie wydam, bom go pod moją opiekę wziął i hanem napowrót uczynię. Do waszego zaś hana sam idę i rozmówię się z nim...

I z tem ich odprawił. A teraz nad Worskłę przybywszy, gdy na równinie za rzeką ujrzał zdala bielejące namioty i płócienne opończe tatarskie, gdy rzucił okiem na swoje zastępy, z najprzedniejszego rycerstwa nietylko z Polski i Litwy, lecz i z zagranicznych krajów, zwłaszcza zaś z Niemiec, złożone, to grała w nim krew, a oblicze ogorzałe promieniało pewnością zwycięstwa.

Wolał Gryfitę do swego namiotu i uradowany mówił:

— Dobrześ mi się sprawił... hufce polskie najwspanialsze, a nie minie cię nagroda, gdy tę czerń niewierną rozpędzim...

Szczukowski zaś kłaniał mu się do stóp i umacniał w dobrej otusze, powiadając, jako że w obozie Tymur Kutłuka strach większy, niż siły.

I rzeczywiście zdawało się to być prawdą. Han bowiem coraz nowe poselstwa słał, nieledwie z błaganiami o pokój, a na wszystkie warunki zgadzać się zdawał. A zaś Witold stawał się coraz zuchwalszy i już nietylko Tochtamysza wydać się wzbraniał, lecz jeszcze sroższe stawiał warunki, mówiąc dumnie do posłów tatarskich:

— Daniny rocznej żądam!... Niech han uzna mnie być ojcem swym i panem i w znak tego niech na monetach waszych każe wizerunek mój wybijać!...

A na to poseł hana, człek już bardzo stary, począł cały z oburzenia się trząść i, wznosząc ramiona do góry, zawołał:

— Nie może to być!... Inny jest rozkaz Proroka... raczej śmierć!...

A Witold śmiał się i odparł:

— To wybierajcie! Nie chce han być dannikiem, jeńcem będzie!

I posła hardo odprawił. W przewidywaniu zaś, iż Tymur takich warunków nie przyjmie, rozkazał wojskom gotować się do przejścia przez rzekę i do boju. Tedy dzień cały panował gorączkowy ruch w obozie, gdy oto nad wieczorem nadbiegł inny poseł od hana i bardzo kornie prosił już nie o zmianę warunków, jeno o trzydniową zwłokę do namysłu.

— Truchleja! — pomyślał z radością Witold i na tę odwołkę przystał, tem chętniej, że po dniach bardzo upalnych poczęły srogie gromadzić się na niebie chmury, grożąc ulewą. Jakoż wnet po odjeździe posła, deszcz padać począł rześisty i zerwała się straszliwa burza z piorunami, która do wieczora trwała. A i nazajutrz nie było lepiej. Dzień cały srożyła się nawałnica, i dopiero w noc późną

przerzedziły się nieco ciężkie chmury. Podwójono czujność w obozie, spostrzeżono bowiem, iż korzystając z onej odwołki i burzliwego czasu, do Witoldowego obozu, tam zwłaszcza, gdzie stał Tochtamysz z Tatarami swymi, przekradali się ukradkiem o zmroku wysłańcy Timura, czy to na przeszpiegi, czy też, aby zbiegłego hana na swoją stronę przyciągnąć i do zdrady obrońcy swego nakłonić. Kilku takich Tatarzynek ujęto i wnet na śmierć usieczono.

Ale pan Spytko podejrzenie miał, że chytry Tochtamysz wielu innych u siebie zatrzymał i ukrywa, aby w razie Witoldowej klęski mieć w nich zakładników i obrońców przed zemstą Timura. Tedy bardzo zaniepokojony, z Przeclawem i innymi zaufanymi swymi straż trzymał noc całą nad brzegami Worskły.

Wody rzeki żółte, mętne, przewalały się z głuchym łoskotem, weźbrane i spienione. Podmywały gliniaste wybrzeże i raz po raz odrywały kawały ziemi, unosząc je z sobą. Spytko na wzgórzu stał, zapatrzony w dal, w zadumie. Cisza zalegała w obozie uspionym, że słyhać było wyraźnie i plusk fal weźbranej rzeki, i szum lasów dębowych, czerniejących w oddali, jak wał na ściemnionym niebie, i jęklivy poświst wichru, który szedł od stepów, po ziemi się wił i rozsrożony ulatał w górę, pędząc chmury przed sobą. Te zaś to się skupiały czarne, groźne, to rozpierchały się beładnie, ukazując na moment szmat nieba i przepuszczając promień księżyca, który wnet niknął w nawale pędzących mgieł.

Spytkowi zdawało się, że mgły te, zsuwające się nisko, jak zdarte strzępy żalobnego płaszcza, osiadają mu na duszy. Tej nocy nie mógł myśli od Elżbietki oderwać. Widział ją w pierwszym rozkwicie młodości na budzińskim, a potem na krakowskim zamku, wesołą, swobodną, zalotną. Słyszał głos jej i śmiech, czuł na sobie jej spojrzenie, jak wówczas, gdy w szrankach, na turnieju z zambiickim księżciem bój toczył. A potem, w pierwszych latach pożycia, widział ją zgnębiającą, jemu niechętną, roztęsknioną. Czuł piekący żar zazdrości, który coraz się wzmacniał, nawet wówczas, gdy Elżbietka, nagle skruszona, stała się dla niego dobrą i czułą. Ale w tej czułości dostrzegał zawsze jakby przymus, czuł tajemnicę jakąś, która ich dzieliła. Tak cierpiał w niepewności, że gdy mu wreszcie Gryfita, za świadectwem Gniwosza i Hennigera, tajemnicę owej nagłej skruchy i zmiany wyjaśnił, doznał zrazu jak gdyby ulgi. Ale wnet zawrzała w nim krew i dzika porwała wściekłość. To, co przed laty stało się w Mornsteinowej gospodzie, było dla niego krzywdą, niewynagrodzoną niczem. Przebaczyć, zapomnieć nie mógł, bo miłował namiętnie, a nawet w tej chwili cała jego dusza wyrывała się ku tej, od której odbieg-

aż tu, na to gliniaste wybrzeże, pod to ołowiane niebo—odbiegł po śmierć!...

Dreszcz go przebiegł od głowy do stóp. Czyżby się lękał? O, nie! To jeno młode życie, niezużyte siły buntują się na moment przeciw zniszczeniu... On zginie ochotnie, byle zapomnieć...

Wtem doszedł uszu jego krzyk. I wnet w dali ujrzał Przeclawa starego, który szamotał się z jakimś ujętym człowiekiem.

— Znów pewnie tatarski szpieg!—pomyślał wojewoda i szybko podążył ku Przeclawowi.

Jeniec wrywać się przestał. Głowę i twarz krył przed wzrokiem Przeclawa, drżąc na całym ciele, a wreszcie na kolana przed nim padł, gdy zaś nadbiegł wojewoda, rzekł głosem stłumionym:

— Nie jestem szpieg!... Prowadźcie mnie do Wielkiego Księcia, mam mu odkryć rzecz ważną...

— Ktoś ty jest? — krzyczał Wawelski, trzymając go silnie za ramię i pochylając się ku niemu. — Dojrzałem cię, jakoś szedł od strony dąbrowy... od tatarskiego obozu... Ktoś ty jest?...

A ów jeszcze niżej głowę skłonił i odparł cicho:

— Niegodny sługa Boży jestem...

Spytko zaś, który bacznie na klęczącego patrzył, rzekł do Przeclawa:

— Znany mi jest ten głos. To zda mi się być ten sam człek, który już pod Kijowem do naszego obozu się przywłócił, a klęskę nam wieścił i serca psuł...

Na to zaś jeniec porwał się z ziemi, wyprostował swą chudą postać i jał wołać głosem wielkim:

— Na rany Krysta przysięgam, nie psowałbym serc w tej wojnie, która świętą jest, gdybym klęski nie widział... Nie wierzyliście mi wówczas, fałszywym prorokiem nazwali... może uwierzycie teraz, gdy powiem, jako ze wsząd za buńczukiem wodza Edygi ciągną tu ćmy Tatarstwa... nieprzeliczone ćmy!... Prze Bóg żywy, odstąpcie!...

Gdy to mówił jeniec, wyblęsnął nagle z po za chmur pronień księżycy i na jeden moment oświetlił jego twarz wyschlą, niemal czarną, na której paliły się dziwnym ogniem głęboko wklęsłe oczy.

Stary Przeclaw zachwiał się i zatoczył, jakby upaść miał, ale wnet porywając się, chwycił jeńca za ramię:

— Tyś jest Bolko!... — krzyknął — syn mój!...

A ów z wielkim jękiem do nóg mu przypadł i drżącymi ramionami obejmując je, całował...

Przez długi moment nic słyhać nie było, jeno łkanie Bolka i głuchy chrzęst, wydobywający się z dyszącej piersi Przeclawa. A potem starzec dźwignął syna z ziemi, i zwarli się w uścisku, w którym bez słów mówili sobie o długich latach przebytych, których dzień każdy srogą był pokutą, odnawiał cierpienie a wzmagal tęsknotę.

Pierwszy oprzytomniał Bolko.

— Słubowałem, — mówił do rodzica — iż was nigdy oko moje nie ujrzy, aby nie odnawiać w sercu waszem wspomnienia krwawego, a grzesznemu memu sercu nie dać tej rozkoszy... Gdy w obozie pod Kijowem spostrzegłem was, wnet skryłem się, a widząc,

jako słów moich Wielki Książę słyhać nie chce i fałszywym prorocstwem je mieni, biegłem tu, przed wami, iżby zbadać... I teraz zbadałem... Wiem, jako straszliwa klęska wam grozi!...

Wyrwał się z objęć rodzica i podbiegł do Spytka, który mocno tem, co widział, wzruszony, opodał stał.

— Ani momentu do stracenia niema! — zawołał. — Wiedźcie mnie, wojewodo, do Wielkiego Księcia... może teraz mnie wysłyha.

Spytko, bardzo chmurny, nie odpowiedział nic i w milczeniu wiódł Bolka do księżęcego namiotu.

Witold nie zaznał tej nocy spoczynku. Pełen zapału, ostatnie wydawał rozkazy. Gdyby nazajutrz, skoro świt, han nie przysłał zgody na podane warunki, miał się rozpocząć bój...

Gdy Bolko, prowadzony przez Przeclawa i Spytka, wszedł, wielki książę poznał go odrazu:

— A!... a! — zawołał z niechęcią — jest to ten sam prorok, który nad Dnieprem zjawił się i ciągle snuł się za mną, złowieszcząc.

I snadź w obawie, iżby on i teraz, w ostatnim momencie rycerskiego ducha swemi słowy nie wątlil, rozkazał wszystkim obecnym wyjść z namiotu precz. Pozostał jeno Spytko i Przeclaw, jako jeńca strażnicy.

A Witold spytał wówczas ostro:

— Czego żadasz?... skąd przybywasz?...

Bolko postąpił naprzód i spojrział śmiało w posępną twarz Witolda:

— Przybywam — rzekł — od Grobu Zbawiciela... Byłem i w Rzymie, skąd Waszej Dostojności błogosławieństwo przynoszę...

Podniósł prawicę i kreślił znamię krzyża, mówiąc w głos, uroczyście:

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

— Amen! — odrzekli Spytko i Przeclaw. Ale Witold lekko jeno głowę pochylił i przerwał niemal gniewnie:

— Mów, z czem przychodzisz?

— Przychodzę, — odparł pątnik — iżby prawicę twoją, dostojny Panie, powstrzymać... Zamierza się ona na tatarskie głowy, ale ich nie dosięże... jeno w głowy własnego rycerstwa ugodzi... Jutro przesiąknie ta ziemia krwią walecznych rycerzy twoich i do trzeciego pokolenia nie oschnie, jeśli nie odstąpisz!...

— Zamilez! — krzyknął Witold — nie mnie odstępować! A jeśli jeszcze słowo rzekniesz złej wróżby, krew twoja naprzód się poleje!... Pątnik na kolana padł.

— Weź głowę moją! — zawołał — weź ją na okup, a oszczędź głów tysiące!...

W oczach Witolda poczęły migotać zielonawe błyski. Niecierpliwą ręką ścisnął rękojeść miecza, który miał u boku. Zdawało się, że się rzuci wściekły na klęczącego pątnika, który mówił śpiesznie:

— Wódz Edyga przybył, wiodąc ćmę za sobą!... Tymur Kutluk czekał jeno na niego i dlatego pozornie się wahał a żądał zwłoki... Teraz wszystkie ordy zleciały się, jak kruki wietrząc żer... Ocal siebie, książę!... ocal rycerstwo swoje... Inaczej — zginiesz... zginą wszyscy!

Witold postąpił krok i za ramię pątnika schwycił.

— Ktoś ty jest! — krzyknął — abyś się ważył wstrzymywać wojnę świętą?... Ktoś

ty jest, abyś się ważył do mnie tak przemawiać?...

Pątnik, z klęczek nie wstając, ujął w ręce wielki krzyż, który mu u pasa opończy zwisał, i całując, odparł:

— Ten mi dał moc, któregom ja sługą niegodnym... W zakonie Bożym noszę imię Jan, a cała Litwa mnie zna...

— Ale ja cię nie znam i znać nie chcę!... — krzyknął Witold. — Tyś jest złowróźbny ptak, któregobym zdusił, ale nie teraz, nie przed jutrem... Własnymi oczyma patrzeć musisz jutro na tryumf mój i na swoje kłamstwo!...

Zwrócił się ku Spytkowi:

— Pod silną straż wziąć go! — rozkazał.

Przeclaw pokłonił się nisko:

— Jam go ujął — rzekł — pod moją strażą jest... własną za niego odpowiadam głową...

— I ja! — dorzucił wojewoda.

Wielki książę głową skinął i ręką dał znak, aby wyszli.

Nazajutrz deszcz ustał, ale nie wypogodziło się, i dzień zaświtał szary. A skoro zaświtał, ujrano zdala, na przeciwnym brzegu Worskły, zbliżający się oddział Tatarów. Jechali zwolna, często zatrzymując się, snadź dla narady.

Niebawem spostrzeżono, że na czele owego oddziału jechał mały Tatarzyn, niosąc w ręku wielką gałąź zieloną, co było znakiem, iż przybywają dla porozumienia się.

Natychmiast tedy dano znać Witoldowi, który wnet wybiegł z namiotu, uradowany.

— A co? — wołał — przychodzą kornie poddać się!...

I zbiegł na sam brzeg rzeki.

A zaś na drugim brzegu stanął już ów orszak tatarski. Na czoło jego wysunął się teraz człek niski, krępy; na szerokich plecach i krótkim karku osadzona głowa ogromna patrzyła przed siebie bystro małemi, czarnemi, jak węgiel, a przenikliwymi oczyma. Przyodziany był, podobnie jak i reszta orszaku w biały, krótki kaftan płócienny, w takież szarawary i czerwone buty saffanowe. Na barkach miał skórę baranią, dla letniej pory wełną na wierzch obróconą, łuk kabłakowaty i sajdak strzał pełen, u boku zaś szablę, a u pasa nóż. Siedział zaś ten mały człeczyna na niewielkim a niekształtnym koniu gniadym, z grzywą gęstą i długą i takimże ogonem, aż do ziemi sięgającym. Siedział na tym koniu niezgrabnie, z kolanami podgiętymi. Ale nad jego głową, na znak godności wodza, trzymano wielki buńczuk z włosienia końskiego.

Ujrawszy Witolda, zbiegającego na brzeg przeciwny rzeki, i poznawszy go snadź po lśniącej zbroi i złocistym hełmie, nie pozdrowił nawet, lecz poprawiając ręką swą czapkę baranią, także wełną na wierzch obróconą, krzyknął hardo:

— Tyżeś to jest wielki książę, który żadasz, iżby ci Złota Orda płaciła haracz i znamię twe na pieniądzech swych tłoczyła?

— Tak żadam! — odkrzyknął Witold.

— A ja ci powiadam, — zawołał Tatar — ja, Edyga wódz, za którym idzie Słońce, że raczej śmierć! Nie chcesz-li zaś ty zginąć wraz z zastępami twymi, to uznaj się dannikiem moim i wizerunek każ bić na litewskich rublach!

— Milcz, niewierny psie! — wrzasnął Witold.



„ZAGŁOBA SUM“
Scena końcowa ze sztuki Sienkiewicza: „Zagłoba swatem.“

I wnet dał znak. Ozwały się kotły i bębny, głuszając odpowiedź zuchwałego wodza. Widziano jeno, jak on na strzemiach nieco się wznosił, ową gałąź zieloną z rąk towarzyszącego mu Tatarzyna wyrwał i na ziemię cisnął, a potem gwałtownym ruchem zerwał łuk z pleców i strzałę z kołczanu, wyżej na strzemiach się wznosił, łuk naciągnął, chwilę mierzył w górę i strzałę wypuścił. Z przenikliwym poświstem wyleciała ona wysoko, tam kędy widać było szybującego z rozpostartymi skrzydłami i kołyszącego się w powietrzu jastrzębia. Za moment ujrano, jak jastrząb ów zmienił nagle lot, szybko machać począł skrzydłami, kręcąc się wkoło, a potem skrzydła zwinął i leciał w dół własnym ciężarem, aż spadł przesyty strzałą, martwy, opodal Witolda, w nurt rzeki.

Wielki książę zbladł i przez chwilę osłupiałymi oczyma patrzył, jak ów orszak tatarski, z dzikim okrzykiem, całym pędem swych rącznych koni, pomykał, rwąc i rozrzucając błotnistą ziemię, ku obozowi hana.

Ale za moment Witold dumnie wznosił czoło.

— Z nami Bóg!—zawołał.

I dał hasło do przebycia rzeki.

Przed wieczorem główna armia Witoldowa była już na lewym brzegu Worskły. Odstępując od rzeki, wyciągnięto linię bojową ogromną. Przeszło siedmdziesiąt tysięcy chrześcijańskiego rycerstwa, nie licząc Tochtamyszowych Tatarów, stanęło pod Witoldową chorągwią. On zaś sam razem z braćmi Jagiełły, Szwitrigajłą—Bolesławem i walecznym Dymitrem Korybutem, sprawiali szyk. Korybut dowodził armatą i wysunął się ze swem rycerstwem naprzód, tworząc jakoby klin tej linii. Na prawem skrzydle stanęli Witold i Bolesław książę, mając litewskie i polskie, a także krzyżackie hufce; na lewem zaś skrzydle stali na czele inni książęta, jak oto: Andrzej Kiejstutowicz Garbatym zwan, Druccy i Trubeccy, Smoleński Hleb i Kijowski Jan. Tam też stał zbiegły han Tochtamysz ze zgrają Tatarów.

Gdy tak sprawiano szyk, rozstąpiły się chmury, i z po za nich wyjrzało jeszcze gorące słońce, paląc żarem, rażąc oczy. I spostrzeżono wówczas, iż wódz tatarski, Edyga, słusznie rzekł, jako za nim słońce idzie, bo jego szczupła, naprzód wysunięta kolumna, stała w cieniu. Ale kolumna owa tak się zdawała liczbą mizerna, że Korybut, najbardziej do niej zbliżony, mniemał, jako ją odrazu rozbije. Dał tedy hasło i zagrzmiały działa. Rozległ się grzmot tysiąca piorunów, a dym gęsty, czarny, przysłonił słońce. Równocześnie dziki, przeraźliwy wrzask Tatarów nappełnił powietrze. Więc Korybut kazał znów bić z dział. I znowu przerażający huk, chmury dymu i tatarski wrzask. Ale ten wrzask zdawał się być od pierwszego krzyku echem, tak oddalony był. I gdy dym rozszedł się nieco, spostrzeżono w zdumieniu, iż nieprzyjaciela nie było.

— Wszyscy zginęli!—zawołał z tryumfem Korybut i jeszcze dalej parł się, oddalając się od obu skrzydeł.

Ale wnet przekonał się, jak zawodna była radość. Nie zginął z Tatarów nikt, oni zaś, pod osłoną dymu, swoim zwyczajem rozpierchli się, aby z ukrycia razić.

Jakoż niebawem powietrze nappełnił tę-

tent koni, ujrano znów pędzący oddział Tatarów, a równocześnie rozległ się przenikliwy gwizd. Tysiące strzał celnych wleciały w szeregi Korybuta. Odrazu przy nim padł umiłowany syn jego, Jan Skinder, a dalej Bielski i Siewierski książę i mnogo późniejszego rycerstwa. Co widząc, Korybut ryknął ze wściekłości i rozkazał jeździe wyruszyć z kopyta naprzeciw. Znowu gwizd i znowu mordercze strzały, a potem tętent koni—pierchli Tatarowie.

Tymczasem na obu skrzydłach walczone już także, a zwłaszcza na prawem bardzo zawzięcie. Tu Tatarowie wielką zbliżyli się kupą, dostrzegłszy snadź Witolda i najprzedniejszych dowódców. Walczyli swoim zwyczajem, wpadając znagła i rozpierchając się, a gonić ich było niepodobna, bo w takiej ucieczce najgorzej razili strzałami. Witold był teraz bardzo posępny. Stojąc opodal, razem z księżciem Bolesławem, Spytkiem z Melsztyna i innymi co najprzedniejszymi, mówił z goryczą:

— Złe uczynił Korybut, wysuwając się naprzód. Rozdzielił nas, że skupić się teraz niepodobna... Tatarowie wciągają go dalej, a na nas i na lewe skrzydło biją...

Rzeczywiście na lewem skrzydle coraz zacieklejszy bój. Dochodzą stamtąd wrzaski tatarskie i jęki. Tam Andrzej Garbaty, widząc, że z rozpierchającym się ciągle Tatarstwem z jazdą swą nie poradzi, wysunął naprzód Tochtamysza z jego Tatarami. Wylecieli szybko, z kopyta, starli się mężnie, ale wtem stała się rzecz niespodziewana.

Z wrogich szeregów szły ogłuszające wrzaski:

— Hałaj! hałaj!

I nagle ukazał się wśród nich na długiej żerdzi miesiąc krzywy, niesiony wysoko, połyskiwał w słońcu, jak złoty... Widziano, jak postępował zwolna wprost ku Tochtamyszowi.

— Hałaj! gałła!—krzyczano.

A zbiegły han nagle wstrzymał swoje szeregi. Tak się zdawało zdala, jakby z nieprzyjacielem rozmawiał i nagle dał znak. On sam na czele, a za nim jego hałastra zwrócili konie i z całym pędem poczęli pomykać w stronę Kiejstutowicza szeregów.

— Zdrada!—zawołano.

I zwarto się z uciekającymi, chcąc ich powstrzymać. Ale Tochtamysz próbował się jak wściekły, ciął naprzód szabłą Garbatego Andrzeja, a gdy ten się zwałił, wszczał się popłochem większy, że za zdradzieckim Tochtamyszem parła się wielka Tatarów ćma, już nie rozpierchając się, lecz walcząc zwartą kupą.

W jednym mgnieniu oka przelamano szyk. Tochtamysz cały krwią zbryzgany wypróbował się przez przeredzone szeregi poległego Kiejstutowicza i jak opętany leciał ze swoimi ku rzece.

Za moment przerażony Witold ujrzał, jak zdradziecki han, przebywszy ze swoją hałastrą Worskłę, popędził dalej, nie oglądając się, w stepy. A lewe skrzydło było już w zupełnej rozsypce, dziesiątkowane przez wrzeszczących w dzikim tryumfie Tatarów. Ci zaś, uporawszy się z Kiejstutowiczem i pozostawiwszy tam jeno małą garstkę, aby niedobitków ściagała, zwrócili się ku Korybutowi i odciąwszy szeregi jego od prawego skrzydła, tu znaczną siłą pędzili,

Do Spytka z Melsztyna przedarł się wśród tumultu pątnik wczorajszy i zdyszany mówił:

— Prze Bóg żywy, wojewodo! Nie wolno wam teraz milcząc, jak wczora, stać... Jeśli wam żywot nie miły i chcecie go stracić, to przecz-że pociągacie za sobą w śmierć pewną tysiące?... Opamiętajcie wielkiego księcia... Niech się uchroni, póki czas!... Tatarowie tyły zachodzą... Już bliżcy są!

Posępna twarz Spytkowa drgnęła.

A stojący przy nim Przeclaw stary do-rzucił:

— Dobrze on rzekł... Nie należy pociągac innych w śmierć... Klęska nieuchronna... Opamiętajcie księcia!

Pan z Melsztyna zachnął się.

— Uciekać nie będę... — rzekł przez zaciśnięte zęby.—Ale niech uciekają inni!...

I poskoczył ku Witoldowi.

Ten zaś, krótką odbywszy z księciem Bolesławem naradę, konia dosiadał. Przez zbladłą jego twarz przelatywały błyski, wzrok ciskał skry:

— Z nami Bóg!—wołał.—Na zwycięstwo lub śmierć!...

— Strzymaj się, książę!—krzyknął Spytko.—Do odwrotu każ hasło dać... Tatarowie obeszl nas... idą z tyłu ćma.

Witold z nogą w strzemieniu, czekał.

— Kto rzekł?—spytał zmieszany.

— Cha! cha! cha!...—zaśmiał się szyderczo stojący przy wielkim księciu Gryfita.

Jego czarna, zwiędła twarz kurczyła się piekielnym szyderstwem. Nienawistnym wzrokiem mierzył wojewodę.

— Cha! cha! — śmiał się ciągle. — To wielkooki strach tak podszeptywa panu z Melsztyna! Zmykać chce!

Spytko smutnym wzrokiem spojrzął na niego z wysoka:

— Nie ja, lecz ty zmykać będziesz! — odparł spokojnie.

Ten zaś na konia wskoczył i przez zaciśnięte zęby syknął:

— Śpieszno ci tak do twego Podolskiego lenna i do Elżbietki pięknej!... Ano, ona nie na ciebie, lecz na zambickiego księcia z tęsknotą czeka!

Pan z Melsztyna drgnął i rzucił się w wir, nie odpowiadając, gdy wtem ozwał się gromki głos Jana z Münsterbergu:

— Nie wierz!... on łże, ten podły pies!...

Reszta słów jego zginęła w straszliwym tumultcie.

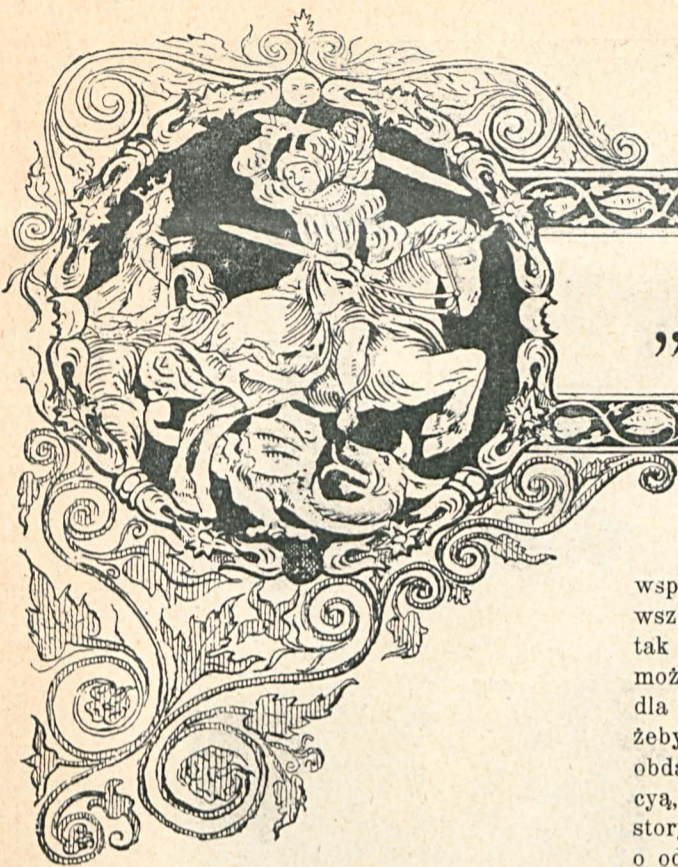
Ujrano już z tyłu Tatarów, którzy obeszl prawe Witolda skrzydło i pędzili na nie co tchu.

Przed Witoldowego konia na klęczkach padł pątnik.

— Miłościwy panie!—błagał — moment ostatni!... Nad sobą i nad tem rycerstwem litość miej!

— Precz!—krzyknął wielki książę—nie czas się wahać... Z nami Bóg! Naprzód!

Z podniesionym mieczem w prawicy poskoczył w tłum. Za nim podażyło wielu, ale nie wszyscy. Komandor z pruskiej Ragnity, Markward Sulzbach, ujrawszy zachodzących Tatarów, pierwszy dał znak do odwrotu i już bokiem cofał się.



„Krzyżacy.”

Za sprawdzian idealny historyczności dzieła sztuki nie miałem nigdy pewności własnej, że każda z odtworzonych w niem osób działających, zmartwychwstawszy, musiałaby się uczuć najzupełniej u siebie w domu. Porządek dań przy uczcie, odcień w sposobie powitania lub pożegnania, wzmianka o jakiejś ozdobie stroju mogłaby upewnić takiego pana, szczególnie zaś panią z przed wieków, że twórca dzieła nie żył w opisywanej przez siebie epoce. Niewątpliwie są tysiące szczegółów w życiu towarzyskim i domowym ludzi, których nieuwzględnienie zmąciłoby im złudzenie, a których ani żadna historia przekazać wiekom następującym, ani żadna intuicja odgadnąć nie może.

Jednemu z powieściopisarzy współczesnych francuskich damy zarzuciły nieznaną im opisywanego przezeń wielkiego świata na zasadzie tego, że ubrał jedną ze swych bohaterów—w czarny gorset..

Mnie się jednak zdaje, iż przedewszystkiem chodzić powinno o to, żeby atmosfera, duch życia w owym dziele sztuki robiły wrażenie czegoś całkiem różnego od współczesności, jeżeli mi bowiem ktoś Babilon starożytny poda w sosie paryskim—nie mi po tem. Następnie chodzić musi czytelnikowi o to, żeby owa „egzotyczność czasu,” jeżeli się tak można wyrazić, stanowiła całość wewnętrzną harmonijną. Słuszną jest wreszcie zawsze rzeczą konfrontować dzieło sztuki z legendą, która jest prawdziwym olejkim różanym, niekiedy zaś próbować je, nawet ścisłą nauką historyczną, która sztuce często może się zdawać olejkim różanym. sztucznie bez róż w retorcji wyprodukowanym. Rzecz jasna, iż artyście, co tworzy rzeczy wieczne, lepiej jest ufać legendzie, która trwa, niż hipotezie historycznej, którą jutro może zastąpić inna.

Przychodzi mi na myśl ks. Jeremi Wiśniowiecki, którego nauka tak bezlitośnie odzierała z uroków, nie zdolawszy jednak zwyciężyć legendy, zrodzonej ze czci powszechnej całego narodu, który przez samą pamięć o bohaterze, syna jego, nie tylko mieniem ubogiego, na tron powołał.

Artysta, któremu chodzić musi przedewszystkiem o to, żeby mózgi ukochać i kazać kochać czytelnikowi bohaterów swoich, musi w nich niekiedy umyślnie zatrzeć pewne cechy, które dla

współczesnych będąc czemś normalnem i powszechnem, działałyby na nasze nerwy w sposób tak drażniący lub rozstrętający, że aż uniemożliwiający złudzenie. Szczytem doskonałości dla historycznego dzieła sztuki jest ostatecznie to, żeby przykuta do niego wyobraźnia człowieka, obdarzonego wrażliwością artystyczną i inteligencją, któremu nie obcą byłaby ani legenda, ani historia epoki, ani duch wieczny narodu—musiała o odtworzonych przez artystę postaciach i stosunkach pomiędzy nimi powiedzieć bez żadnych zastrzeżeń: tak właśnie być „musiało.” Kto tak „czuje,” tego żadna metoda szukania dziur na całym z wiary w dzieło nie wyzuje.

Otkż z tego punktu widzenia nie znam nie w tym rodzaju, co by silniej i wyraziściej budziło we mnie tę wiarę, to poczucie. Owiewa mnie w „Krzyżakach” odrazu atmosfera rzeźkości, jedności, mocy i prostoty, taka właśnie (jak muszę myśleć), w jakiej jedynej mogły się rodzić owe olbrzymie, przez historię przekazane typy i czyny.

Skąd przyszedłoby mi na myśl pytanie: czyby mogła być inną ta lub owa postać, kiedy ją widzę niby żywą? Zdaje mi się, że tak i tylko tak musiały czuć i myśleć te słodkie niewiasty i potężni rycerze, których dźwignęło może zakęcie ze starych grobowców lub wywiodło z nisz kościołów gotyckich, gdzie wieki przetrwali w ciszy i mocy. Czarodziejstwo, zachowawszy ich jedność i ogromność kamienną, nalało im tylko do żył dawnej krwi niezatrutej a wrzącej i tchnęło w nich dusze proste i dumne, wierne i mężne, szczerze i prawe, gwałtowne i czułe, od mieczów niekiedy hartowniejsze i od łuków kościelnych strzelistsze, a jakieś bardziej rodzone, niż nasze własne.

To pień dębu, czemkolwiek zaś my jesteśmy—liściem jesiennym, czy żołędzią—część pieśni o nim oddajmy.

Pisarze zawsze najwięcej ognia swego i natchnienia ekspensują na przykucie uwagi oraz uczuć grozy lub miłości czytelników do głównych bohaterów swoich, których odróżnić zarazem możemy po tem, że ich los wiąże w całość, nie tylko, że tak powiem, jukstapozycyjnie, lecz nawet duchowo—wszystkie zdarzenia. Sienkiewicz, dla którego wogóle maniera ani cudza, ani własna nie istnieje, jest i pod tym względem zupełnie oryginalnym.

Jego bohater urzędowy już w „Quo vadis” służy głównie do charakterystyki epoki, jako przeciętnie szlachetna w dzikości swego egoizmu i pychy dusza kwiryty, którą czyni zarazem autor probierzem nowej prawdy. Ale myślę, że nerwy i serce samego autora, jak i moje, drgają tam nierównie żywiej i silniej dla „boskiego” Petroniusza. To samo tu dzieje się ze Zbyszkim, którego młodzieńczości daje autor za nieodłączne dopełnienie starość Maćka. Oni uczą wyobraźnię naszą, jak przyjmował wrażenia człowiek ówczesny i jak na nie reagował, jak poddawał się uczu-

ciom lub panował nad nimi, jak rozumiał świat i zaświat, oraz stosunek między nimi, jak się modlił, kochał, bił, budował, gospodarował, gardził śmiercią, czcił króla, wielbił świętą Królowę, kochał kraj swój i prawdę, a nienawidził złości i obłudy.

Ale ci ludzie gasną dla naszego serca nie tylko w chwili starcia się żywiołowego dwóch idei narodowych, zakutych w stal setek tysięcy panczerzy, nie tylko przy ogromie duchowym najszczytniejszego z wymarzonych bohaterów, Juranda ze Spychowa, nie tylko wobec choroby i zgonu Jadwigi, lecz nawet wobec grona ówczesnych bohaterów historycznych, przesuwających się zaledwo przez scenę, jak Zawisza Czarny lub Zyndram z Maszkowic.

Typy rycerzy z Bogdańca godne byłyby specjalnego studium, a niezliczone momenty z ich życia—najszczegółowszej analizy. Zbyszko—wspaniały chłop, zawsze pewny zasady: „póki cię nie zabiją, to czegoż się bać, a jak cię zabiją, to już i nie czas na strach.” Zaśniecie jego pod gadanie o grożącej mu śmierci, cudne modlitwy o „czuby pawie” dla Danuśki i specjalną uwagę Bożą dla Jadwigi, odsłaniające bezdeń prostoty i szczeroci najczystszej względem Boga i siebie; chwile zadzierzystości, szczególnie ów szczerzy gniew szalony na cudzoziemskiego rycerza, który śmie nie być pewnym, że żadna inna kobieta nie może być urodziwszą ani enotliwszą od panny Danuty Jurandówny; rozpacz więzionego i skazanego na wieść o zgonie królowej, zapominająca bezwzględnie o sobie; „hej! hej!” rwące się z piersi, rozpieranej kochaniem, młodością i siłą, oraz szumem i czarem niezmiernego boru; smutna a pełna godności wewnętrznej pokora, wobec słusznego gniewu królewskiego; zachowanie się w drodze na rusztowanie; duża łza, wywołana wspomnieniem o Danuśce przy śpiewaniu Jagienki; temperament urodzonego wojownika w pojedynku z Rotgierem; miłość dla „stryjca” i dla Jagienki—wszystko to są objawienia artystyczne. Typ to stworzony do słuchania owego przykazania mazureckiego: „Wpierw tni, a potem obaczysz, kogoś rozciął.”

A nie ustępuje Zbyszkowi w niczem ani ów „stryk,” ani Jagienka. Maciek—to w jednej osobie chytry Wielkopolanin i rycerz bez strachu i zarzutu, stryj kochający jak ojciec synowca i naczelnik rodu, gotowy ostatecznie, choć z rozpaczą, „dla jego przedłużenia brać babę” w razie Zbyszkowej śmierci.

Od krewniaka opata (typu też wspaniałości nieporównanej), którego spadkobiercą siebie mniema, gotów on coś wyłudzić dla wspomnienia podupadłych Gradów, ale dla ichże honoru o wykup z Krzyżakiem targować się nie będzie; leży mu istnienie rodu na sercu, ale śmierci unikać własnej ni Zbyszkowej na polu chwały nie umie; czuje on, że kocha Zbyszkę więcej, niż sam wie o tem, ale wolejby go sam zabił, niż pozwolił mu na pohańbienie wiary i sławy rycerskiej mordowaniem

*) Fragment z dzieła p. t. „Henryk Sienkiewicz,” które w tych dniach opuści prasę.



Henryk Sienkiewicz w różnych epokach życia.

Według fotogr. J. Mieczkowskiego.

1863

1869
18721878
1880

1883

1899

1900

bezbronno jeńca, chociażby bez świadków i w najsluszniejszych nawet gniewie i zemście.

— „Rzekniesz, że i królom i książętom nieraz przygodziło się jeńców mordować? Ba! nie u nas! I co im uchodzi, tobie nie ujdzie. Mają ci oni królestwa, miasta, zamki, a ty co masz? Rycerską cześć...“

Nie przeszkadza mu to być najzaciętszym w prawej zemście i zarząca Lichtensteina po pojedynku prawidłowym.

Pyszne jest jego rozumienie wysokości majestatu Syna Bożego:

„Jezusowi obiecywać za wygojenie ran? Toż to samo, co skarżyć się królowi, że szlachcic sąsiadowi chłopca wybił.“ Tu przypomina mi się, jak przyjaciel Maćków, ojciec Jagienki, ze czcią dla tego majestatu godzi pogańskie ofiary duchom domowym (skrzatom): „Księża krzyczą, pomstują! Panu Jezusowi przecie przez trochę klusków chwały nie ubędzie, a skrzat, byle był syt i życzliwy, to i od ognia i od złodzieja uchroni.“

Wracając do Maćka, powiem, że kocham go jeszcze, gdy mówi, pokrzepiwszy serce wspomnieniem Płowiec: „Jest nasz naród okrutnie żywiący i moc ma w sobie też niepożyta.“

Jagienka to żywy i cudny typ dziewczyny i niewiasty staropolskiej. Jej miłość—czuła bez sentymentalizmu, wierna i niezłomna bez patosu—technie jakąś naprawdę przedwiekową bezpośredniością. Od pierwszego jej błysku, kiedy myśliwa, przyjrząwszy się dobrze piękności i sile dawnego wyrostka, nagle zaczyna zaciągać pod szyją koszulę zgrzebną, co się od szybkiej jazdy otwiera, aż do zaprzysiężenia mu wiecznej wiary—wszystkie chwile tego uczucia czarują, wzruszając swą szczerością i prostotą.

Polowanie na bobra z tem, niby z tego, ni z owego: „Nie pójdę ni za Cztana, ni za Wilka“ i z radością, że na ich miejscu on (Zbyszko) ją „brał“ po woli czy po niewoli, i ze smutnem,

głuchem. „Nie wiedziałam“ na jego słowa o kochaniu Danuśki—to wszystko prześliczna idylla. Cudną jest jej wstydlivość i pokora, i cisza jej odpowiedzi na rozkaz Zbyszka po drodze do kościoła: „Nie będą ci dziś służyli“ (stali zalotnicy), i wybuch na wieść o jego niebezpieczeństwie: „To niech i mnie zabiją!“ Jakiem jasnowiedzeniem serca kobiecego jest gniew i żal Jagienki do niekochanych obrońców swoich przeciw kochanemu niewdzięcznikowi! Kiedy Maćko, pewny, że rycerza Danuśki—może już umarłej—Jagienka nie minie, prawi jej o jego do niej przywiązaniu, ta półszepcem mówi: „Pewnie nieprawda, ale powiadajcie jeszcze.“ I koroną tego jest jej ogromna litość dla Juranda i szczere pragnienie szczęścia Zbyszkowego i modlitwy gorące za Danuśką.

W epopei tej cały skarbiec momentów, teńnych to humorem nieporównanym i najbardziej polskim, to tragizmem wszechludzkiem, a prztem—jak błyskawica uwidatnia kontury skał—tak charakteryzujących i wieczne pierwiastki dusz narodów i zarazem indywidualności postaci poszczególnych.

W pokorze „przebaczenia“ Kunona Lichtensteina Zbyszkiowi na prośby księżeń i rycerstwa polskiego jest cała pycha krzyżacka, obłudność i mściwość. Cała ta scena z płaczem Danuśki, zżymaniem się rycerzy, z pytaniem Zawiszy, kogo naśladuje poseł krzyżacki, domagając się śmierci szalonego młodzika: lwa czy baranka, których rycerzowi naśladować trzeba—i z fuknięciem gniewnego jeszcze a wzruszonego już litością króla: „Mnie pohańbił, królestwo pohańbił, mamże go za to miodem smarować?“—cała ta scena, powtarzam, jest gotowa dla sceny. To samo powiedziałbym o skargach poselstw krzyżackich przed księciem Januszem na Juranda, i o poznaniu się Zbyszka z Danuśką, i o niesłuchaniu charakterystycznej i wspaniałej scenie wizyty Opata w Bogdańcu.

Napotyka się tu niekiedy niby drobnostki, ale niemożliwe do zapomnienia, bo olśniewające wczuciem się autora w temperamenty epoki, jak np. owo wytłomaczenie pojedynków rycerskich o urodę i cnotę nawzajem nieznanym przeciwnikom dam—niejakiemś komedyanckim uleganiem formie, lecz prostolinijnością umysłu, zapalnością serca, szybszem rodzeniem się gniewu i zaciętości bojowej, niż zdolności postawienia się na czyjś miejscu. W tym porządku rzeczy przychodzi mi na myśl ów wspaniały pomysł, co każe gniewowi Cztana i Wilka, na korzyść Zbyszka sponstponowaną przez Jagienkę, toczyć na cmentarz i z powrotem olbrzymi kamień.

A co za odpowiedź włodyki mazurskiego na pytanie żadnego przygód bajecznych rycerza zagranicznego: „czy w puszczy kurpińskiej są smoki, którym ludzie muszą ofiarowywać dziewice?“ — „W borach jest rozmaity godny zwierz, jako wilcy, tury, żubry i niedźwiedzie, z którymi dość jest roboty. Może też po bagnach są i duchy nieczyste, ale o smokach nie słyszałem, a choćby i były, pewniebyśmy im dziewczek nie dawali, ale kąpałybyśmy na nie poszli. Ba, gdyby były, jużby dawno Kurpie pasy z ich skóry nosili.“ Albo owa uwaga starego Maćka, co w złości na miłość Zbyszkiową dla Danuśki zapewnia go, że „drzewiej (ongi) ludzie byli mądrzejsi,“ ale po namyśle dodaje: „choć poniekiedy bywał i drzewiej głupi...“

A owa narada ze Skirwoiłą, który, powtórzyszy kilka razy z namysłem i przekonaniem, iż mądrze odradzający mu drugi atak na Nowe Kowno „słusznie prawi“—przy wyjściu z namiotu na zapytanie: „Dokąd ruszmy?“ odpowiada spokojnie: „Pod Nowe Kowno“—i to Nowe Kowno ruszyszy zdobywa. W tem przecie cała Litwa...

Opisy łowów księcia Januszowych w boru mazowieckim nie ustępują żadnym innym, nawet Sienkiewiczowym opisom; pochód Zbyszka na śmierć i zratowanie go przez Danuśkę—to arcy-

W Tyliccu, w gospodzie pod Lutym Turcem, siedzieli kilku ludzi, wsłuchując opowiadania wojaka bywalca, który z dalekich stron przybył, i mówił im o przygodach jakich na wojnie i w czasie podróży doznał.

Ciszek był brodaty, w sile wieku, plecyty prawie opromiony, ale wykadłszy; ubiór nosił ajste w pżyłlık czyli w siatkę nanywaną paciorkami, na sobie miał skórianą kaftan z przegami wysztytami przy pancerz, na nim pas, cały z miedzianych klamr, za pasem nosił w rogowej pochwie przy boku rias krotki kord podróży.

Tuż przy nim stał z sobą siedział młodziutek o długich włosach i wesołym spojrzeniu. widocznie był towarzysz, lub może giermek, bo przybrany takiż po podróży i w takiż sam wystrój od ubrania skórianą kaftan. Resztę towarzystwa stanowili dwóch niemieckich z okolic Krakowa i trzech niemieckich w ciemnych skądających czapkach, którzy zwracali się do niego z koku aż do lokcie.

Gospodarz niemieck w słowym kaplarze z kofuiercem wycinanym w rękę lat im ^{z kamioi} sybuc piwo do górnianych sztygwoek i nasłuchiwał wiadomości przygod wojennych.

Jeszcze raz ciężej studiowali niemieckie. W owych czasach nie gardzono jęzikiem niemieckim jak w polskiej, mianem dawało się widzieć w gospodach kupców niemieckich za pan brat. Dawała niemieckim jako w czasach zlotka widać najdłużej i w niemieckim i w polskim. Widać było w nich, że jako ludzie w których o grom salwicy a do tego widzieć za ciebie, płacili zwykłe za herbowych.

Jeszcze raz ciężej studiowali niemieckie. W owych czasach, niemieckie jako dawało się widzieć w gospodach kupców niemieckich za pan brat, mianem dawało się widzieć w gospodach kupców niemieckich za pan brat, mianem dawało się widzieć w gospodach kupców niemieckich za pan brat, mianem dawało się widzieć w gospodach kupców niemieckich za pan brat.

Tak więc siedzieli teraz i rozmawiali, wrugając od czasu do czasu na gospodarza aby napędził sztygwoek.

Autograf pierwszej kartki „Krzyżaków.“

dzieło, a ta dziewczyna jest kobietą-kwiatem, kobietą-ptaszyną, kobietą-wiosną. Gdyby Ligia wykonała była ów zamiar swój, drżący łązawo w cudnem: „Wolę do Ligów“—Danuśka byłaby pewno jej pra-prawnuczka.

Ale ponad wszystkie te opisy jest jeden, do którego zdaleka już zbliżając się, ma ochotę paść na kolana: mówię o wszystkim, co się tycze Jadwigi.

Na samą już myśl o jej ukazaniu się w kościele słów mi brak i źle widzę litery, które stawiam.

Gdyby mi kazano wskazać najlepszy wzór wyrazistości, prostoty i piękności mowy polskiej—wskazałbym to właśnie, dodając tylko: nie do naśladowania. Tam muzyka słowa przekonywa i porywa, bo myśli grają jak sfery niebieskie i uczucia śpiewają, jak cherubiny. Większej sugestji w życiu nie ulegałem.

Nie dosyć, że czuję cześć powszechną dla tej królowej, miłość dla niej, uwielbienie i ubóstwienie bez granic, że wierzę każdym włókmem serca w jej świętość, że widzę każdym włókmem nerwów jej nadziemską piękność, że cała moja istota jest przenikniona świadomością, iż to właśnie jest istota ponad wszystkie istoty: dopóki to czytam—ja sceptyk w sześcianie—jestem taki prosty i czysty sercem i wiarą, jak owi rycerze, co poklękali na jej widok z nabożeństwem, i rozumie Zbyszka tak, jakbym nim był.

Gdyby mi w tej chwili kto powiedział, że albo przepadnie z owego opisu jeden wiersz, albo

żebym na śmierć szedł, tobym się wstydził, gdybym nie poszedł.

A cóż powiem o opisach tego, co się działo w duszach ludzkich i w duszy narodu na wieść o chorobie i zgonie królowej? Jak wspomnieć o czarodziejstwie stylu w słowach, co zwarte naturalnie ciężarem ogromnym padają na piersi, dech w niej tłumiąc, lub lecą na duszę, jak burza lkań?

Rozpacz tłumy przed zamkiem po ukazaniu się na wieży chorągwi czarnej — to nie słowa o rozpacz, lecz rozpacz sama—moja rozpacz, zrodzona uczuciem, że po takiej śmierci „nikomu nie warto żyć na świecie.“

Największy artysta samą sceną śmierci nie wywołałby takiego wrażenia, jakie tu robi wieść o niej. Nie mogę o tem mówić więcej.

A jednak w „Krzyżakach“ jeszcze są rzeczy nie mniej od tych szczytne.

Według zwykłej swej metody zapytuje siebie, cobym powiedział, gdybym, będąc np. Francuzem, napotkał niepodpisany poemat tragiczny o Jurandzie ze Szychowa? Czytając, nie zastanawiałbym się oczywiście, czy to człowiek zrobił, ale po namyśle, dobierając wyrazów pospolitych w braku ściśle odpowiednich, krzyknąłbym: To wielki poeta! Chyba to nieznaną dotychczas światu „Legenda wieków“ Wiktora Hugo!

Przeczytałbym znów i powiedziałbym: To wielki poeta, ale nie Hugo, bo ogromy obrazów, uczuć i myśli przychodzą tu w prostocie wyra-

zów, w których żaden nie jest obrachowany na efekt, na pogłębienie sztuczne przepaści kontrastów, na dodanie do przerażeń treści—przerażeń słów. Jednym słowem, na całej przestrzeni poematu ani jednego błysku deklamacyjności, patosu, maniery. Nic, prócz żywiołu, którego potęgą przyrodzona wstrząsa, ciska o ziemię, nad obłoki duszę porywa. Co to jest? zwał kamieni? gwałt fal morskich? przecie każde ze słów tych takie jest proste i przezroczyste, jak samo powietrze? Przecie to nie jest chyba sztuka, tylko żywioł.

Prostu dreszcz mnie chwyta na samą myśl, i gdyby nie konieczność, nie mówiłbym o tem wcale, żeby oszczędzić swoją miłość własną, bo przecie nie mogę mieć żadnych złudzeń co do tego, że wszystko, co powiem, będzie w stosunku do tego za małe, za zimne, za szare. Nawet myślę, że najlepiejby mi było z góry powiedzieć, że chcę mówić wyłącznie z rozumowania.

Z dobrego i gościnnego dla Niemców nawet i Krzyżaków rycerza śmierć, zdradziecko i okrutnie zadana ubóstwianej żonie, czyni tytana zemsty. Całe dawne jego ludzkie serce wypełniła miłość niezmierna dla córki Danuśki, żywego obrazu męczennicy-nieboszczki, ale do piersi zemsta włożyła mu niby drugie serce, niby równie wielkie, wypełniwszy je niemniej całkowicie, równie niezmierną nienawiścią dla Niemców. Ze spokojnego i dobrego sąsiada „Krzyżaków“ ten ogromny ciałem i duchem wasal księcia mazowieckiego staje się demonem ich niszczycielem. Zemsta zwiększa stokrotnie jego siłę olbrzyma, i spraw-

ność wrodzoną wodza i żołnierza, i rasową odwagę bezgraniczną.

Na kogo z Niemców spojrzęło jedyne oko strasznego Mazura, tego dusza wnet z wraskiem leciała do piekła, jeżeli nie sądzono jej było z jękiem szukać do niego drogi z ogromnych podziemi spychowskich, skąd żaden Niemiec za żadne skarby nigdy się nie wykupił.

W ciągu lat długich jękami jeńców konających w męce mury tak przesiąkły, że aż w ciszy nocnej dusza pana na Spychowie słyszała niekiedy idący od nich głos: „Dość pomsty!“ Ale rano przynosił wieść, że nowa wyprawa krzyżacka skrada się pod Spychów, lub jakiś oddział niemiecki ciągnie opodal w służbę krzyżacką, i nienawiść jego wybuchała nowym pogromem wrogów.

Oczywiście nienawiść i żądza zemsty rosły też bez miary w Krzyżakach, dorównyując nawet ich strachowi przed tym cyklopem. Chutliwy komtur Szczytna, Daneveld, przy pomocy innych braci porywa podstępem z dworu książęcego zwierzęcą pożądaną dziewczkę Jurandową i daje ojcu znać, że wisi nad nią los Witoldowych dzieci, że chcąc go jej oszczędzić, ma on, doniósłszy księciu swemu, iż dziewczynę zbóje zwykle porwały, oraz wypuściwszy jeńców, iść własną osobą do Szczytna, by się upokorzyć przed Zakonem, odbyć pokutę za wszystkie przeciw niemu zbrodnie i tem okupić wolność córki. Tymczasem zaś niewinności jej naprawdę chroni tylko to, że Daneveld ma w łubkach ramię strzaskane.

Scena walki wewnętrznej Juranda wobec pańników, co mu wieść straszną przynieśli, jego zapamiętanie się i stężenie w rozpacz jest już

czemś nad wszelką miarę wspaniałem. Nie uczynić wedle żądania—Danuśka zginie, uczynić—może nie zginie, i Jurand w pełnej zbroi, rycersko opasany i przy złotych ostrogach, jedzie w tajemnicy przed zięciem i dworem, wiezie na pohańbienie do Szczytna cześć swoją rycerską, krzepiąc słabość swej pokory przykładem Chrystusa i św. Jerzego, patrona rycerzy.

„Zmaganie“ się Jurandowe z gniewem na samą myśl o tem, co go czeka, jest pomysłem—nie: natchnieniem!—które mogło się zrodzić tylko w takiej duszy...

Jurand u bramy szczycieńskiej to jest coś przechodzącego miarę ludzkiej wyobraźni i ludzkiego serca, równie jak uragowisko na sali zamkowej i błagania Juranda, zrozpaczonego stawieniem przed nim „niedojdy“, zamiast zasłyszanej jeszcze z pod bram córki. Wybuch zaś po cynicznej obietnicy Danevelda—to rozpętanie żywiołu.

Nie mogę porównywać w tej chwili z żadnymi słowami ludzkimi, ale wysilam się na przypomnienie sobie własnych bezpośrednich wrażeń podczas wielkiej burzy, która lasy waliła, kiedy własnymi oczyma patrzeć musiałem na zakopywanie, wedle przesądów chłopskich, do ziemi, dla przywrócenia życia, fioletowo sinych pobitych pionunem trupów.

Otóż potwornie wielka scena owa na zamku szczycieńskim nie mniejszą grozą mnie napędza. Obiecuję sobie kiedyś, po odczytaniu tego z kilkadziesiąt razy dla przytępienia wrażliwości, prześledzić kolejność tu wyrazów, obrazów, nastrojów: czy się nie uda pochwycić tajemnicy tej potęgi?

Ale teraz to mnie odrazu chwyta, jak jakiś potworny wir szału.

I zaklęta w strasnego Mazura siła żywiołowa zemsty, gdy mu wykałano jedyne oko, język wyrwano i prawicę ucięto, przeradza się w równie bez miary potężny żywioł przebaczenia.

Dla naszej wyobraźni przewrót ten z naj-

zupełniej niespodziewanego staje się jakąś koniecznością naturalną i prostą, myślę tylko, że takie naturalne i proste tajemnice sam Bóg szepece duszom największych swych naśladowców. Owo powstrzymanie załogi spychowskiej od napadu na Szczytno i potem rozcięcie pęt Zygrydowych—to jest coś, o czem gdybym chciał głośno mówić w tej chwili, głosby mi się rwał.

Przychodzi mi na myśl, że wogóle bezrozumna jest rzeczą i wzgardą godną mówić o swoich nędznych wrażeniach wobec takich objawów potęg żywiołowych. To, co jest najlepszego i najmądrszego we mnie, jako w artyście, radzi mi po prostu zamilknąć i rzucić do ognia całą tę robotę, każe mi zaś ją kończyć tylko obowiązkiem względem prawnych jej właścicieli.

Cała zemsta Zygryda von Loewe od chwili przyniesienia ciała Rotgierowego, całe piekło jego duszy aż do powieszenia się—to groza, to okropność, równie nadnaturalna, choć niezmiernie inna. O tej części utworu znużenie moje może to tylko powiedzieć... że godna jest omówionej poprzednio.

Wyobraźnia, ani myśl moja już nie ma siły patrzeć na to. Zdaje mi się, że twórczo przemarzyć Juranda i Zygryda i nie umrzeć z tego może chyba jedynie więcej niż człowiek, nietylko więcej niż nad-człowiek.

Z ogromów wzrok przenoszę na drobnostki, dla odpoczynku. Niekiedy nic nieznaczące pozornie szczegóły dają uczuć coś z niesłychaną wyrażnością. Czemu np. mógłby Sienkiewicz dać wyraźniej odczuć ciszę tłumy w Ostrianum wobec Piotra, niż szelestem węgielków opadających z pochodni?

Ślepy, niemowa i kaleka, wstrząśnięty dźwiękiem rodzinnych a serdecznych słów, wymawianych głosem wzruszonym dziewczęcia, pada na kolana przed Jagienką. Kiedy zaś ta, obiecawszy go zabrać z sobą, dopytuje się, skąd jest i każe mu wstać, Jurand pochyla się jej do nóg, a dotknięcie jałowiczych męskich skórzni przebranej za giermka dziewczyny odbija się na twarzy jego „zdziwieniem i zawodem.“ Ten szczegół jest światłem błyskawicy. Odrazu czuję, że dusza w tym człowieku żyje, nie zmartwiała w mękach, a przez to w późniejszym jego bohaterstwie przebaczenia wyobraźnia nie szuka nawet żadnych odcieni przy-



Z wystawy Sienkiewiczowskiej w salonie A. Krywulca.

gnębienia czy martwoty, widząc w nich tylko najwyższą, najwzwyższą moc ducha.

Pozostaje mi jeszcze powiedzieć słów kilka o bitwie pod Grunwaldem. Tyle mówiłem o bitwach w epejach Sienkiewicza; prawie każda z nich, póki się ją czyta, zdaje się w swej inności zupełnej najwspanialszą ze wszystkich, jakie były kiedykolwiek opisane. Myślę jednak z wiarą podwójną, że ze wszystkich, nie wyłączając nawet bitwy pod Chocimem, najbardziej inną i najbardziej wspaniałą jest właśnie ta ostatnia. Co do języka—powiedziałbym to, co napisałem z powodu opisów, dotyczących się Jadwigi, gdybym był właśnie już raz tego nie napisał.

Brak słów—to jest co mogę najwyrazistszego powiedzieć o tej najwyższej harmonii w najwyższym chaosie.

Zdobędę się zaledwo na wzmiankę o kilku momentach: atak pułków kmiecych z owym „Zdro—waś—Ma—ry—jo—ła—skiś—peł—na“ dla odmierzania kroków i niełamania szeregów; atak zastępów Wielkiego Mistrza z białym płaszczem, rozwianym naksztalt skrzydeł olbrzymiego orła, i modlitwy Jagiełły, i jego rozmowa z heroldami krzyżackimi, i łyż nad trupem Mistrza, i łyż mistrzowe na widok zastępów polskich, i jego szczytna odpowiedź komturowi z Elbląga, i bohaterstwo Niemców, co „wycinani, jak bór, marli w milczeniu, posępni, ogromni, nieustraszeni,“ bohaterstwo niemal równe bohaterstwu Polaków...

W wybuchu Mikołaja Kiełbasy przeciw Zbyszskowi z Oleśnicy jest cały szal i groza bitwy, jak cisza może być w szeleście węgielków. W tej scenie—szczyt sugestyi.

A owa daleka perspektywa pobojuwiska w obrazie znoszonej przed króla starszyny krzyżackiej!...

„Leżeli naksztalt zrabanych pni, ze zwróconemi ku niebu i białemi jak ich płaszcze twarzami, z otwartemi szklanemi oczyma, w których zastygł gniew i duma, wściekłość bojowa i przerażenie. Nad ich głowami pozatykano zdobyte chorągwie—wszystkie!

„Wieczorny powiew to zwijał, to rozwijał barwne płótna, one zaś szumiały jakby do snu poległym.“

Co za wielkość duszy, która tak widzi zwycięstwo największe swego narodu, opłacone rzeką krwi jego! To też tem potężniej przenikają duszę ogromne słowa zakończenia:

„Więc tobie, wielka, święta przeszłości, i tobie, krwi ofiarna, niech będzie chwała i cześć po wszystkie czasy!“

JÓZEFAT NOWIŃSKI.

Nasze ryciny.

Wystawa Sienkiewicza w „salonie“ Krywulca. Między objawami miłości i czci dla autora „Ogniem i mieczem,“ czci i miłości tak jednomyślnie i gorąco wyrażającej się wśród naszego społeczeństwa, niepoślednie miejsce zajmuje wystawa obrazów i ilustracji do dzieł jego, urządzona z wytwornym smakiem w „salonie“ A. Krywulca. Zgromadziła ona dawniejsze utwory znakomitych artystów naszych, w znacznej części reprodukowane w „Tygodniku Ilustrowanym,“ przy których zajęły miejsce liczne nowe i nieznanne prace młodszych ilustratorów polskich, zaszczytnie wstępujących w ślady swoich poprzedników. Przy przedziwnie wiernym portrecie Henryka Sienkiewicza przez Kazimierza Pochwalskiego i przy wspaniałych rysunkach Józefa Chelmońskiego, Juliusza Kossaka, Piotra Stachiewicza, Antoniego Kamińskiego i Czesława Jankowskiego, znajdujemy długie, najświeższe cykle Stanisława Batowskiego i Konstantego Gorskiego, odtwarzające z niezaprzeczoną talentem wybitniejsze epizody z „Krzyżaków.“ Tak jeden, jak i drugi odczuli głęboko ducha ostatniej powieści mistrza, a każdy inaczej, ale obaj udatnie przetłumaczyli treść jej literacką na język plastyczny.

Batowski, który już w „Potopie“ przedstawił się nam jako dzielny, pełen temperamentu rysownik, wznosił się w „Krzyżakach“ na szlachetniejszą wyżynę sztuki. Kreacje jego, bardzo zajmujące, umiejętnie skomponowane, niekiedy niepospolicie piękne („Zbyszko przy trumnie Danusi“), pod względem technicznym nabrały siły i wypukłości, zachowując dawną energię rozmachu. Konstanty Gorski zadziwił nas po prostu szerokością swego technienia twórczego. W czterestu wielkich kartonach, niekiedy może niezupełnie poprawnych w szczegółach rysunkowych, ale pojętych niezmiernie jednolicie i poetycznie, nadał całości niepowszednie znaczenie kompozycyjne. Właś w utwory swoje szczerze uciążliwie przedmiotu i ciepło serdeczne, nawskroś je przenikające. Przypuszczam, że oba cykle powinny się znaleźć w domu obłęgórskim, gdzie, świetnie przyozdabiając ściany jednego z pokojów, świadczyłyby wymownie o braterstwie sztuki polskiej z ideałami piśmiennictwa naszego. Wszakże fundusz składkowy nie jest dotychczas do dna wyczerpany, sądzę więc, że część, przeznaczona na udekorowanie przyszłej siedziby wielkiego pisarza, byłaby niewłaściwie użyta, gdyby za nią zakupiono dzieła, wywołane wpływami jego natchnienia. Wystawę uzupełnia scena z „Quo vadis,“ śmiało *en grisaille* przez Maryana Wawrzeńckiego namalowana, oraz duży karton węglowy Mirosława Gajewskiego, w którym wszystkie niemal postacie powieści Henryka Sienkiewicza defilują przed oczyma publiczności, żywo interesującej się ekspozycją, jak już powiedziałem wyżej. ładnie i wykwiśnie urządzoną—i budzącą w umysłach wrażenia i wspomnienia, jakie lektura dzieł znakomitego powieściopisarza w nich wryła.

Dar jubileuszowy z Rzymu dla H. Sienkiewicza. Silvano Arborio, autor dramatycznej przeróbki „Quo vadis“ na scenie rzymskiego teatru „Mauroni,“ młody literat włoski, przesłał H. Sienkiewiczowi, z powodu jubileuszu, artystyczny dar, który tutaj w rycinie dajemy. Jest to kopia brązowej bogini Zwycięstwa, podającej wieniec laurowy, niejako symbol wyjątkowego powodzenia, jakim autor „Quo vadis“ cieszy się we Włoszech, gdzie dosięgnął szczytu popularności. Posążek ten znaleziono w gruzach Pompei, i jest on znany jako jeden z ładniejszych mniejszych bronzów, które przechowuje muzeum w Neapolu. Kopię wykonał artystyczny, znany ze świetnych kopii antyków, zakład Nisinię w Rzymie.

DLA SZTUKI.

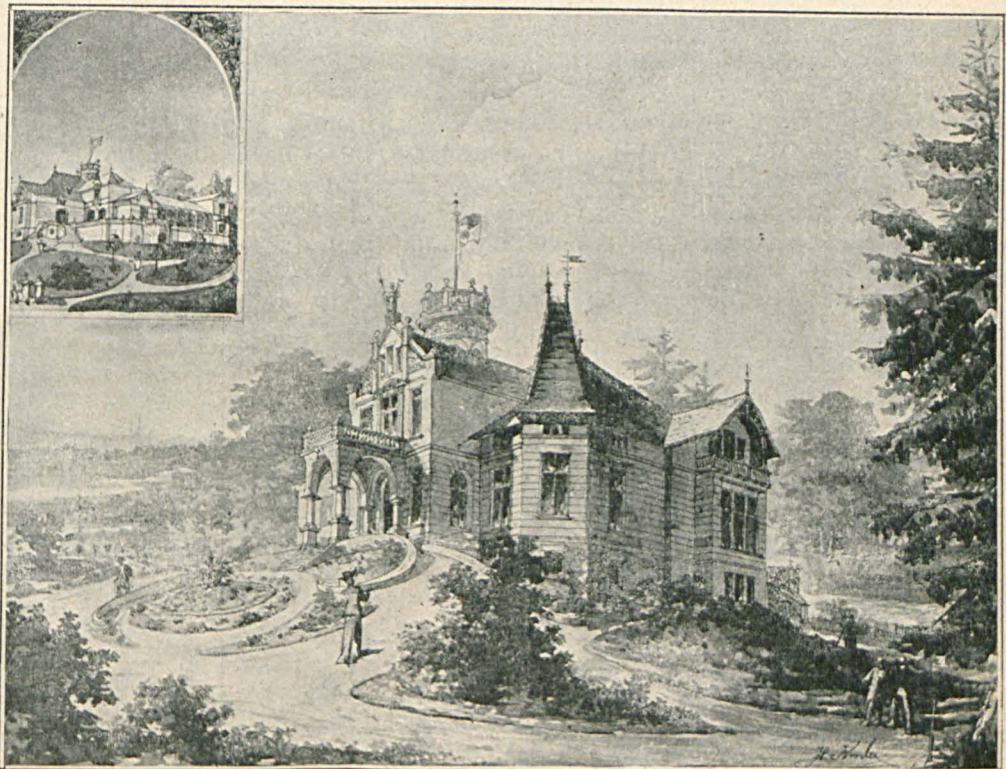
W

numerze 51 „Tygodnika Ilustrowanego“ z zeszłego 1899 roku zamieściliśmy odezwę p. t. „Dla dobra sztuki.“ W odezwie zaznaczaliśmy chwilę przełomową, w jakiej się znajduje Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem. Kładliśmy nacisk na fakt doniosły budującej się wówczas siedziby Towarzystwa, uwydatniając trudności materyalne, z jakimi instytucja ta walczyć musi, aby budżet swój unormować. Wówczas też zaproponowaliśmy pośrednictwo nasze pomiędzy prenumeratorami „Tygodnika“ a Komitetem Towarzystwa w sprawie nabywania biletów rocznych, czyli t. zw. akcji członkowskich. W ten sposób chcieliśmy się przyczynić choćby w małej mierze do rozwoju instytucji artystycznej. Ze swej strony ofiarowaliśmy na cele artystyczne 10% od sumy wkładów członkowskich, przepływających przez ręce nasze.

Dziś, gdy rok od tego czasu ubiega, i Towarzystwo otwiera podwoje nowej siedziby, czynimy obrachunek, czy i o ile projekt nasz okazał się praktycznym. Okazuje się, że w ciągu roku ubiegłego Towarzystwu Sztuk Pięknych przybyło za pośrednictwem „Tygodnika“ 166 nowych członków, oraz suma kilkudziesięciu rubli, jako 10% od wkładów ogólnych.

Oczywiście liczby te nie imponują, lecz—*initium semper durum est*—i z tego względu naszą myśl pośrednictwa uważamy za udatną.

Teraz, gdy gmach Towarzystwa już gotów, rozpoczyna się nowy okres rozwoju tej instytucji. Teraz wszystko zależy od tego, czy ogół nasz zrozumie swoje zadanie i pośpieszy z pomocą. Wielkich rzeczy oczywiście nikt nie wymaga w danym razie—tylko szczerego zainteresowania się Towarzystwem, tylko poparcia w formie zapisania się na członka. Nazwiska członków, zapisujących się za pośrednictwem redakcyi „Tygodnika“,



Dom w Obłęgorku po przebudowaniu.

będą, jak dotychczas, ogłaszane w naszym piśmie.

Podnosząc więc znowu myśl zeszłoroczną, mamy nadzieję, że czytelnicy nasi nie omieszkają w coraz większej liczbie nabywać akcyi Towarzystwa.

Poparcie tego rodzaju, dostępne dla każdego, da możność instytucji rozszerzać nieustannie zakres swej działalności, pozwoli dostarczać z jednej strony publiczności poważnej ilości czystych wrażeń estetycznych, z drugiej zaś—istotnie „zachęcać“ siły artystyczne, popierać wszelkie objawy sztuk plastycznych. Powtarzamy więc, że jak w roku ubiegłym, tak i obecnie redakcja „Tygodnika“ podejmuje się w dalszym ciągu pośrednictwa w nabywaniu akcyi, utrzymując nadal stale swe zobowiązanie.

Dla objaśnienia interesowanych, nadmieniamy, że członkowie, którzy nabyli akcyę przez „Tygodnik“, premia roczne otrzymają wyłącznie w Zarządzie Towarzystwa.

✽

Z tygodnia na tydzień.

✽

Otwarcie gmachu T. Z. S. P.

Dzień 15 grudnia trwale zapisze się w pamięci ogółu naszego aktem niezwyklej doniosłości. W dniu tym Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych w Królestwie Polskiem, w obecności licznie zebranych artystów, tudzież zaproszonych przedstawicieli innych sfer towarzystwa warszawskiego, otworzyło uroczystie podwoje nowego i własnego już po czterdziestoletniej tułaczce gmachu.

Uroczystość rozpoczęła się od odczytania przez wiceprezesa Towarzystwa D-ra Benniego, w obecności przedstawicieli władz, szczegółowego sprawozdania z czynności komisji budowlanej i historii powstania gmachu; potem generał Komarow przeciął wstęgę, przeciągniętą przez schody, i znaleźliśmy się w salonach, przepelnionych dziełami sztuki, które Towarzystwo zebrało na swoją wystawę inauguracyjną.

O salonach tych, jako też o całej architekto-

nicznej stronie nowego pałacu, mówiłem już w zeszłym numerze „Tygodnika.“ Dziś, kiedy pozwolono nam poznać zgromadzone tam skarby twórczości artystycznej, należałoby uczynić szczegółowy ich przegląd.

Nadmiar jednak materiału, gdyż rzeczywiście artyści nasi wystąpili bardzo licznie, przytem istotnie wysoki poziom wielu z nadesłanych utworów, poprostu onieśmiela na razie do bardziej zdecydowanych wniosków, które z powodu niedostatecznego opanowania pierwszego uroku nowości, mogłyby okazać się przedwczesnymi lub zgoła mylnymi. Dlatego też, odkładając ocenę pojedynczych prac do czasu bliższego zapoznania się z nimi, chcę zaznaczyć najogólniej, iż wystawa przedstawia się prawie imponująco. Kilka większych płócien, zawieszonych w warunkach właściwych, sporo malowideł głębiej odczuty, kilka rzeźb z wyraźnym piętnem natchnionego poczucia—dają całą pełnię estetycznego zadowolenia.

Niestety, nie wszystkie dzieła w jednakowo szczęśliwych warunkach mogły być wystawione. W salach mianowicie z bocznem oświetleniem, obrazy, często doskonałe, poprostu przepadają, umieszczone bowiem wprost okien, błyszczą w sposób uniemożliwiający ich oglądanie. To znowu szereg kartonów za szkłem rozwieszono między oknami, więc w cieniu, z niepożądanym dla obrazu obowiązkiem odbijania wszystkich oświetlonych w sali przedmiotów.

Sprawa ta gwałtownie domaga się reformy, co znowu nie nastrocza wielkich i nieprzewidywanych trudności. Wystarczy tylko w salach, przeciw dość długich, ustawić poprzeczne przegródki do rozwieszania na nich malowideł, lśniących od laserunków i werniksów, lub szkłem przykrytych. Światło padałoby wtedy pod kątem, oszczędzając artystom przykrych niespodzianek, na jakie obecnie są narażeni. Nadto przysporzyłoby to trochę miejsca, ku wielkiej uciechu tych, którzy się tam dotychczas docisnąć nie mogli.

T. Jaroszyński.

* * *

Wieczorem na uczenie dnia otwarcia pałacu sztuki odbył się u ordynata hr. Zamoyskiego raut, na którym zebrali się artyści, literaci i miłośnicy sztuki.

Z licznych przemówień zaznaczyć należy

dwa: jedno gospodarza, który oświadczył, że zbiera się fundusz imienia wice-prezesa Towarzystwa Sztuk Pięknych D-ra Karola Benniego, którego energii, jak wiadomo, zawdzięczamy tak szybkie przejście pałacu sztuki z dziedziny projektów w dziedzinę rzeczywistości; procenty od tego funduszu będą przeznaczone na stypendyum dla malarzy polskich, kształcących się za granicą. Prócz tego, z ust samego D-ra Benniego dowiedzieliśmy się, że kilka osób zobowiązało się składać rocznie przez lat pięć po 1000 rubli, żeby utworzyć kapitał na urządzenie stałego muzeum sztuki polskiej; pożądanem zaś jest, aby liczba takich ofiarodawców doszła do 10-u.

Jest to dopiero początek, ale początek poważny.

Od redakcyi.

✽

Prosimy Szanownych Prenumeratorów „Tygodnika“ o jak najwcześniejsze nadsyłanie prenumeraty na rok przyszły, dla uniknięcia możliwej zwłoki i przerwy w odbieraniu pisma.

✽

Po ukończeniu w najbliższym numerze powieści Adama Krechowickiego „Fiat lux“, rozpoczniemy z nowym rokiem nowelę **Elizy Orzeszkowej**

„Z RÓŻNYCH DRÓG”

z ilustracjami **Antoniego Kamińskiego**, oraz nową powieść współczesną

Kazimierza Tetmajera p. t.

„P A N N A M E R Y.”

✽

Nasz dodatek powieściowy rozpoczniemy powieścią **R. Kiplinga** i **Balestiera**

„Tajemniczy naszyjnik,”

miesięczny zaś dodatek **SIENKIEWICZA** za styczeń r. p. będzie zawierał nowelle: **Ta trzecia**, **Wyrok Zeusa**, **U źródła**.

Kronika powszechna.

✽

Jubileusz Sienkiewicza.

Łomża, nie chcąc się dać wyprzedzić innym miastom kraju naszego, postanowiła uczcić dzień jubileuszowy autora „Quo vadis?“ wieczorem w sali Koła muzycznego. Na program uroczystości złożą się: kantata, jednoaktówka „Czyja wina?“ odegrana przez amatorów, oraz cztery żywe obrazy z „Trylogii“ i z „Krzyżaków.“ — Dyrekcja teatru poznańskiego urządza na cześć Sienkiewicza szereg widowisk scenicznych, które zaczną się d. 17 b. m. Program obejmuje sztuki: „Ta trzecia“, „Ogniem i mieczem“, „Potop“, „Pan Wołodyjowski“, „Na jedną kartę“, w dniu jubileuszu zaś, d. 22-go, na widowisko złożą się kantata, „Czyja wina?“, deklamacja, „Zagłoba swatem“, oraz apoteoza jubilata.—Walne zebranie czytelników akademickiej mianowało jednogłośnie Sienkiewicza członkiem honorowym.

W „Temps“, znany pisarz, dyrektor komedii francuskiej, Juliusz Claretie, w kronice p. t. „La vie à Paris“ pisze: „Obraz Paryża nie byłby zupełnym,

gdybyśmy nie stwierdzili niesłychanego powodzenia Sienkiewicza. Tak, „bardzo paryskim“ w roku bieżącym będzie powieściopisarz polski. Nasz kochany przyjaciel, Charles Edmond, byłby uszczęśliwiony z tego ocknięcia się duszy narodu za pośrednictwem książki, i powiedziałby nam, że zawsze przychodzi nam godzina pewnych reakcyi i nieuniknionych odwetów. „Quo vadis?“ nie wprowadza nas w kałużę. I dlatego Sienkiewicz zdobył świat, powieści jego tłumaczone są na wszystkie języki, wszystkie dzienniki ogłaszają Sienkiewicza, drukują Sienkiewicza, żądają Sienkiewicza. Obchodzić będą 50-lecie tego Sienkiewicza, którego sława rozległa się nagle, jak wystrzał armatni, i który spędził lata w Rzymie, studiując Romę Nerona, a nikt o jego istnieniu nie wiedział, ofiarują mu zamek umeblowany, ozdobiony freskami, wyobrażającymi główne sceny z prac jego; uduszą go wierszami, zmiążdżą wieńcami, Cały, pełen wdzięczności naród, powie mu: „Dziękuję!“ To jest uroczystość wzruszająca, szlachetny poryw wdzięczności. Jestem pewien, że Sienkiewiczysci (*les sienkiewiczistes*) francuscy przyklasną mu. Niechajby u nas utworzył się komitet, celem

ofiarowania zamku jakiemu sławnemu powieściopisarzowi (a mamy niejednego), zobaczylibyście, jak niezwłocznie mali koledzy i mali współcześni połączyliby się, by oświadczyć, że propozycja podobna jest najzupełniej śmiesz-



„Zwycięstwo“, dar jubileuszowy z Rzymu dla Sienkiewicza.

na, i powieściopisarz musiałby odrzucić tę wspaniałomyślną ofiarę, jeśli nie zechce stać się pastwą małych dzienniczków. Wnosimy liczne posągi naszym umarłym; dla żywych mamy stosy kamieni, którymi w nich ciskamy. Sienkiewicz dobrze uczynił dla swego szczęścia prywatnego, że nie urodził się nad brzegami Sekwany. Mieszkanie, w którym żył Flaubert, naprzykład, zamienione jest na fabrykę, a salony i zamki, jakie posiadają nasi pisarze, są zamkami na lodzie, jeśli nie są pokojami szpitalnymi.“ Tu Claretie przypomina dolę różnych pisarzy i malarzy francuskich, wspomina o hołdach, jakich przedmiotem był u nas Matejko, i kończy: „Tymczasem, nim będziemy naśladowali wdzięczność Polaków, złożmy pokłon temu Sienkiewiczowi, który, jeśli przyjedzie do Paryża, nie będzie powitany takimi okrzykami, jak Krüger, ale będzie przez nas przyjęty jako człowiek pracy i wiary, który w mroku naszych wysiłków, wśród mgieł i ciemności naszych zapalił małą lampę starożytną, błyszczącą tam jak gwiazda... Tę, której szuka w dali i wuj Paweł, a która jest dla starca-tułacza tylko czerwonym blaskiem pocisku!“

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcji Tygodnika ilustrowanego.

Pieter Maritz: Opowiadanie z dziejów walki o niepodległość Transwalu, według A. Niemana opracowała Zofia Bukowiecka. — Zarówno temat, jak imię autorki uprzedza dla książki przychylnie, i rzeczywiście daje ona wiele na 474 stronicach, objętością równającym się dobrem dwom tomom. Jest to praca poważna, dla młodzieży starszej, przynajmniej 14-letniej, i przeważnie dla chłopców, których więcej niż dziewczęta zajmie opis walk, bitew albo polowania. Treść to zresztą bogata i dość różnorodna, daje obraz natury i bogactw Transwalu, sposobu życia Europejczyków i pierwotnych dzikich mieszkańców, oraz politycznych dążeń i zawikłań, wynikających ze sprzeczności interesów niepodległych krajowców, Holendrów, i Anglików. Starcie tych interesów stanowi prąd opowiadania, którego głównym bohaterem jest młody Bur, Pieter Maritz. Syn dzielnego wojownika, mając lat 14, służyć zaczyna ojczyźnie. Pierwsza próba wypada na jego niekorzyść: nie podołał włożonemu na niego zadaniu i nie chce wracać do gminy ze wstydem. Natomiast dostaje się w moc oddziału angielskiego, którego młody dowódca, lord Fitzherbert, żąda od niego usług, jako od poddanego królowej Wiktorii. Młody Bur się opiera, ucieka i razem ze ścigającym go lordem zostaje wzięty do niewoli przez czarnych afrykańskich rozbójników. Przeniesiony następnie na dwór ich protektora, króla Zulów, potężnego Tschetschwajo, ma sposobność poznać dokładnie charakter, obyczaje, siły i zamiary dzikich. Odzyskawszy wolność, pragnie powrócić do swoich, ale Anglicy żądają od niego wskazówek, które mogą być dla nich bardzo cenne wobec wypowiedzianej już Zulom wojny. Pieter Maritz zostaje zamknięty w więzieniu, ale nie chce zdradzić tajemnic, które zawdzięcza gościnności króla Tschetschwajo. Mniej mocnym pod względem etyki jest ustęp, kiedy generał Joubert przemawia do Bura: „Potrzebuję znać stan armii angielskiej: czy liczne jest ich wojsko, ilu mają oficerów, koni, artylerji, jak strzelają, jakiej uczą tam taktyki, czy ludzie są silni, czy panuje w wojsku ich subordynacja. Wstąpię więc do armii angielskiej podczas wojny z Zulami, nie narażając życia, nie chodzi tu bowiem o to, żebyś zwyciężał, ale żebyś widział dokładnie wszystko, na co patrzeć będziesz.“ Zapewne, że dla ocalenia ojczyzny i taka służba nieraz bywa koniecznością, jednak droga to śliska, a rada niewłaściwa dla młodości. Pieter Maritz w służbie angielskiej zdobywa sławę i odznaczenia, ale naturalnie całe jego bohaterstwo uwydatnia się dopiero w walce z Anglikami, która wybucha wkrótce. Między postaciami epizodycznymi spotykamy w powieści i Ludwika Napoleona, który ginie z ręki Zulów. Zaznaczyć jeszcze trzeba, iż książka czyta się z zajęciem, a język jest czysty i poprawny.

Teresa Jadwiga: Pojednani, powieść z czasów Napoleona I. — Opowiadanie rozpoczyna się w epoce, poprzedzającej utworzenie ks. Warszawskiego. Kazimierz i Włodek, dwaj synowie podupadłej szlacheckiej rodziny, odmienne obierają sobie drogi życia. Kazimierz niezbyt pracowity i chętny do nauki, a trochę lekkomyślny, liczy na pomoc bogatej rodziny, stryja Adama i Stefana, brata stryjecznego. Włodek po za szkołą uczy się stolarstwa w warsztacie Niemca Hilla, ażeby prędzej zdobyć niezależność i dopomódz matce i siostrze, Kazimierz i Zosia patrzą na to z uprzedzeniem, ale chłopiec ma silną wolę, ponieważ opiekun moralny rodziny, stryj Adam przeszkód mu nie stawia, więc zostaje przy swoim. Kazi-

mierz pod wpływem stryja kończy także szkołę i w majątku jego rozpoczyna naukę gospodarstwa, a że ma wiele szlachetnych przymiotów, zdobywa względy opiekuna, który postanawia jemu, nie zaś Stefanowi pozostawić rodzinne dobra, Zawistny Stefan nieszczęśliwą intrygą zmusza go do ucieczki i oczernia przed stryjem Adamem. Pozbawiony nagle kraju i rodziny, młody tułacz wstępuje do legionów i odbywa z nimi kampanię hiszpańską, odznacza się pod Sommosierra i składa dowody odwagi, szlachetności i rozumu. Tymczasem Stefan, śmiertelnie raniony wskutek nieszczęśliwego wypadku, przyznaje się do winy względem stryjecznego brata i powraca mu życzliwość i szacunek stryja. Kazimierz wraca nakoniec z legionami, naznaczony szlachetną blizną i krzyżem Legii honorowej, stryj mu oddaje majątek rodzinny. Powieść napisana bardzo zajmująco, dla młodzieży od lat 14, stanowić może pożyteczną i prawdziwie uszlachetniającą rozrywkę, ze względu na etyczny podkład, przenikający całą pracę, Co do usterek języka, to zwraca uwagę nadużycie wyrazu „dotarł“, który się powtarza zbyt często we wszelakiego rodzaju odmianach.

Marya Weryho: I ja już czytam. 50 powiastek dla małych dzieci. — Wielką zaletą powiastek jest krótkość, pozwalająca małym czytelnikom przeczytać od razu całość, objąć ją myślą bez trudu i opowiedzieć. Druk duży i wyraźny ułatwia jeszcze to zadanie, a treść łatwa, jasna, dostępna, bawi, czasem pouczy, zawsze rozweseli. Pierwsza powiastka wskazuje przyczyny, dla których Janek nauczył się czytać, dalej mamy opowiadania etyczne, przyrodnicze, obrazki z życia i zabaw dzieci, malowane po prostu, z tą niezrównaną werwą, która najblahszym rzeczom daje moc zaklęcia uwagi i ciekawości dziecięcej. Pierwsze wydanie tej książki rozeszło się w ciągu roku.

Zofia Bukowiecka: Jak się dusza budziła w Józiu, opowiadanie dla młodzieży. — Prawdziwie serdecznym ciepłem owiane pierwsze dzieje młodej duszy Józia, od chwili wstąpienia do szkół do ich ukończenia. Ten okres życia bohatera świadczy, iż autorka przeznaczyła swoją pracę dla młodzieży od lat 12-tu przynajmniej, gdyż choć początek nawet wcześniej łatwo zrozumianym być może, całość wymaga więcej rozwiniętego umysłu, aby rozniecić w nim jasne iskielki szlachetnych uczuć młodzieńczych. Pierwsze zetknięcie wśród kolegów uczy Józia znosić przykrości w milczeniu, pracować przez poczucie obowiązku, nie oglądając się na sądy ludzkie i ich niesprawiedliwość, uczy

współczucia dla słabszych, wytrwania i rozszerza zakres miłości bliźniego z rodzinnego kółka w rozleglejsze sfery, przez kolegów, wśród których ma przedstawicieli rozmaitych warstw społecznych i żywiołów. Miłość ta potężnie i wiedzie do czynu, budzi w nim samodzielność, jest nową, szlachetną pobudką pracy, pozwala kosztować pierwszych rozkoszy poświęcenia i przynosi pierwsze owoce: dwie dusze kochające i gotowe służyć braciom wedle sił swoich. Książeczkę można polecić gorąco, jako zdrowy pokarm, który niewątpliwie bardzo się podoba młodym czytelnikom.

Zuzanna Morawska: Królewicz, powieść z XV wieku. — *Niedźwiedź*, powieść z XVI w. — Dwa te opowiadania składają się na książkę poważnej bardzo objętości, bo liczą blisko 400 stronic. Przeznaczone są również dla młodzieży starszej, lat 13—14, mającej już trochę historycznych wiadomości i przygotowania. *Królewicz* to Władysław Pogrobowiec, z którym wiążą się losy Warneńczyka w Węgrzech i tragicznej jego śmierci. Królowa Elżbieta w sposób wcale nie królewski broni praw swego syna i pragnie przeszkodzić obiorowi i koronacji Warneńczyka, ale zabiegi niweczy Hunyad, wysyłając do Polski śpieszne poselstwo, którego tłumacz i pisarz, Andor Attilakos, nietylko roztropnością oddaje mu wielkie usługi, lecz ukrywając koronę św. Stefana, zapewnia tryumf swojemu stronnictwu. Drażliwa sprawa złamania przysięgi, przedstawiona krótko, może na zbyt krótko, gdyż nie wyjaśnia dosyć dokładnie pobudek, kierujących głównymi osobami. Ale nie to przecież jest osią powieści. — *Niedźwiedź* daje nam obraz smutnego wychowania Zygmunta Augusta i wstrętnych intryg Bony. Zaskoczony śnieżną zawieją, Zygmunt August, w drodze do Wilna, szuka gościnności pod dachem kasztelana zakroczymskiego i w zabawie z jego dziećmi wielką znajduje przyjemność. Upodobał sobie zwłaszcza małego Kazika, bratanka kasztelana, który w niedźwiedziej skórce zabawnie grał rolę misia, i stąd Niedźwiedziem przezwany został. Wzięty na dwór królewski, jako towarzysz królewicza, biedny Kazik Niedźwiedź smutne wiecie życie, krępowany niechęcią i kaprysami Bony. Zazdrośna o syna i o wpływ na niego, chytra Włoszka pragnie oddalić Kazika, a kiedy syn stanowczo sprzeciwia się temu, kilkakrotnie usiłuje go otruć. Traf szczęśliwy, a potem życzliwość doktora ocala nieraz życie Niedźwiedziowi, nie ochrania go jednak od ciężkiej choroby, z której korzystając, usuwa się wreszcie sam z oczu złej kobiety i powraca do boku króla wtedy dopiero, kiedy orężem i sercem bez przeszkody służyć mu może. Słabą stroną powieści stanowi potworna postać Bony. Pomijając już nawet pedagogiczne względy, nie wiem, czy nam wolno wystawiać ją tak stanowczo jako trucicielkę i zbrodniarkę, skoro historia wyraźnych dowodów na to nam nie daje. Sceny nieszczęśliwości i okrucieństwa królowej muszą sprawić wrażenie jedynie ujemne, odsłaniając przedwcześnie przed młodym umysłem strony życia ohydne, których w rzeczywistości może nie spotkać wcale. Sądzę, iż nie rozmiągając się z prawdą, można było trochę inaczej odmalować charakter Bony, a powieść tylko zyskałaby na tem. Po za tem ma ona wiele cech dodatnich; daje obraz historyczny koronacji Zygmunta Augusta i stosunku króla do narodu. Napisana też, jak większość powieści tej autorki, zajmująco, barwnie, z humorem i swobodą niezrównaną, czystym i pięknym językiem.



—★ N A D E S Ł A N E. ★—

WYDAWNICTWA GEBETHNERA i WOLFFA

Dzieła Henryka Sienkiewicza.

- Album Sienkiewicza.** Wydawnictwo jubileuszowe. Główniejsze sceny i postacie z powieści i nowel Henr. Sienkiewicza w 20 ilustracjach wykonanych w heliografii, według rysunków: Brandta, Chelmońskiego, Kamińskiego, Kotarbińskiego, Pochwałskiego, Rosena, Siemiradzkiego, Stachewicza i Wodzinowskiego, ze wstępem krytycznym Stanisława hr. Tarnowskiego, oraz z wyjątkami z dzieł Henryka Sienkiewicza. Wydanie wytworne na pięknym welinie in 4-to w ozdobnej oprawie 8 —
- Krzyżacy.** Powieść historyczna. Wydanie jubileuszowe. 4 tomy, rub. 5, w oprawie 6 60
- Pisma.** Tom I. Stary sługa. — Hania. — Szkice węglem. — Janko muzykant. Wydanie 6-te. w oprawie 1 —
1 40
- Tom II. Listy z podróży (po Ameryce). Wydanie 5-te, rub. 1, w oprawie 1 40
- Tom III. Listy z podróży. II. Komedya z pomyłek. Wydanie 5-te, rub. 1, w opr. 1 40
- Tom IV. Przez stepy. — Orso. — Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela. — Czyja wi-na? — Za chlebem. Wyd. 5-te, rub. 1, w opr. 1 40
- Tom V. Latarnik. — Niewola tatarska. — Jamioł. — Na jedną kartę — Bartek zwycięzca. Wydanie 4-te, rub. 1, w oprawie 1 40
- Tom VI—IX. Ogniem i mieczem. 4 tomy. Wydanie 5-te, rub. 2, w oprawie 3 60
- Tom X—XV. Potop. 6 tomów. Wyd. 2-gie w oprawie 3 —
5 40
- Tom XVI—XVIII. Pan Wołodyjowski. Wydanie 5-te, rub. 1 50, w oprawie 2 70
- Tom XIX. Ta trzecia. — Sachem. — Sielan-ka. — Walka byków w Hiszpanii. — Z puszczy Białowieskiej. — Wycieczka do Aten. Wydanie 3-cie, rub. 1, w oprawie 1 40
- Tom XX. Wyrok Zeusa. — Z wrażeń wło-skich. — Organista z Ponikły. — U źródła. — Lux in tenebris lucet. — Bądź błogosławio-na! — Pójdźmy za Nim! — Listy o Zoli. Wy-danie 2-gie, rub. 1, w oprawie 1 40
- XXI—XXIII. Bez dogmatu. Powieść. 3 tomy. Wydanie 3-cie, rub. 3, w oprawie 4 20
- Tom XXIV—XXVI. Rodzina Połanieckich. Powieść. 3 t. Wyd. 3-cie, rub. 3, w opr. 4 20
- Tom XXVII—XXIX. Quo vadis? Powieść z czasów Nerona. 3 tomy. Wydanie 3-cie w oprawie 3 —
4 20
- Tom XXX. Listy z Afryki. Wyd. 2-gie w oprawie 1 —
1 40
- Ogniem i mieczem. — Potop. — Pan Wołodyjowski.** Wydanie nowe jubileuszowe w 6-ciu to-mach, rub. 2, w oprawie 3 —
- Na jasnym brzegu.** Nowela, rub. 1, w oprawie 1 40
- Nowele.** Wydanie ozdobne z ilustracjami A. Ka-mieńskiego w małym formacie (Bibliotecz-ka ilustrowana), rub. 1, w oprawie 1 40
- Treść: Janko muzykant. — Jamioł. — Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela. — Latarnik. — Lux in tenebris lucet. — Bądź błogosławiona.
- Quo vadis?** Powieść z czasów Nerona dla doj-rzalszej młodzieży, ułożył i objaśnił R. A. Bobin, z 10 rycinami. Wydanie 2-gie 1 50
w ozdobnej oprawie 2—

- Dzielny żołnierz.** Opowiadanie historyczne z po-wieści „Pan Wołodyjowski,” przerobione przez H. Sł. — 20
- Obrona Częstochowy.** Opowiadanie z czasów woj-ny szwedzkiej, przerobione przez S. J. — 20
- z powieści „Potop.”
- Święty Piotr w Rzymie.** Opowiadanie z czasów prześladowania chrześcijan za Nerona, przerobione z powieści „Quo vadis?” przez H. Sł. — 40
- Za chlebem.** — 20

OPUŚCIŁ PRASĘ

szczególony katalog

wydawnictw Gwiazdkowych

KSIĘGARNI

Gebethnera i Wolffa

KTÓRY, NA ŻĄDANIE, DOSTARCZANY JEST GRATIS I FRANCO.

WIELKI WYBOR

ALBUMÓW DO KART POCZTOWYCH własnego nakładu poleca skład papieru, ksiąg buchal-teryjnych St. Winiarskiego w Warszawie, Nowy-Świat № 53, Telefonu 1143.

Nowe, praktyczne i pożyteczne wydawnictwo ROMANA KRECZMERA „**RĘKODZIELNIK AMATOR**”

I tom zaw. 179 rysunków i obejmuje działy następujące: Kilka słów o tak zwanych odpadkach. Tektura i bibuła. Papier maché. Wyroby z gipsu. Wyroby z tektury. Ozdabianie wyr. tekt. Introligatorstwo, naklejanie map i oprawa obrazów. Ognie sztuczne i iluminacje (Pyrotechnika). Fotografia (Metoda mokra czyli kolodyo-nowa. Metoda sucha czyli emulsyjna). Galwanoplastyka. Złocenie szkła i srebra. Zwierciadła. Emalia i glazura; wyrób srotu; wyrób stempli kanczukowych; zegarmistrzostwo; wyrób atramentów.

Cena I-go tomu w oprawie rub. 1 kop. 50.

II tom zawiera 440 rys. i obejmuje działy następujące: Kowalstwo; ślusarstwo; ciesielstwo; wyroby z łydy i gałęzi; stolar-stwo; malowanie drzewa; laubzga i mozaika; tokarstwo; rzeźba; ko-szykarstwo; szycielstwo; kwiaty sztuczne.

Cena II-go tomu w oprawie rub. 2.

Każdy tom nabywać można oddzielnie. Sprzedaż wszędzie. Składy główne: w księgarniach Gebethnera i Wolffa w Warszawie, Łodzi i Krakowie, oraz u wy-dawcy w Admin. „Kuryera Świątecznego” Wielka 33.



ZAKŁAD CHIRURGICZNO-ORTOPEDYCZNY
D-ra REICHSTEINA
Warszawa, Leszno 31

przyjmuje z chorobami chirurgicznymi, ze skrzywieniami kręgosłupa, kończyn, chorobami stawów, mięśni i do masażu od g. 4—6. W Pracowni Ortopedycznej przy Zakładzie wyrabiają się przy udziale specjalistów: gorsety, przyrządy do kończyny (Schienen-Hülsenapparaten Hessinga), sztuczne kończyny, wszelkie pasy ruptyrowe i brzuszne i t. d.

41-szy rok istnienia

PRZYJACIEL DZIECI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE z oddzielnym dodatkiem dla małych dzieci nauce i rozrywce młodzieży poświęcone.

W części literackiej zawiera: opowiadania historyczne i z podróży, powieści, wiersze, komedyjki, pogadanki naukowe, zadania różne, rebusy i t. p. Wszystko to w formie odpowiedniej dla umysłów młodocianych.

Część ilustracyjna bogata i bardzo starannie opracowana.

Premium bezpłatne: książka.

Co tydzień zadanie do nagrody.

Prenumerata wynosi: w Warszawie kwartalnie rb. 1, rocznie rb. 4. Na prowincyi kwartalnie rb. 1 k. 25, rocznie rb. 5.

Redaktor Jan Skiński.

Warszawa, Chmielna 26.

Na żądanie wysyłamy numer okazowy.

Wydawnictwo Romana Kreczmera.

Album Pisarzy Polskich Współczesnych

w opracowaniu przez St. Dembego, zawiera 155 portretów i tyleż biografii najcenniejszych naszych literatów dzisiejszej doby. Cena egz. w suto złoc. opr. rb. 2.

ALBUM PISARZY POLSKICH

zawierający 80 portretów od Św. Wojciecha do Asnyka, wykonanych przez art. mal. H. Piątkowskiego, z tekstem przez St. Dembego, na ang. kred. papierze. Cena egzempl. w ładnie złoc. oprawie rub. 1 kop. 50 Składy główne: w księgarniach Gebethnera i Wolffa w Warszawie, Łodzi i w Krakowie u Gebethnera i Sp.

Jedyny, najtańszy pismo polskie humorystyczno-satyryczne

Kuryer Świąteczny

zasilane przez wybitne siły literackie i pierwszorzędnych malarzy w kraju i za granicą, wychodzi co niedziela i święto. Cena w Warszawie rocznie z odno-szeniem rub. 3 kop. 60. Cena z przesyłką pocztową rocznie rub. 4 k. 60.

Adres Redakcyi i Administracyi: Warszawa, Wielka № 33

Świeże Trany

poleca Warszawskie Towarzystwo Akcyjnego Hand. Towar. Aptecz. dawniej Zjednoczeni Aptekarze i

Ludwik Spiess i Syn.

30 nowych Gier 50-cio-kopiejkowych. Wielki wybór ZABAWEK poleca J. Malanowski, Królewska 37. Katalog Gier i Zabawek wysyłam na żądanie franco gratis.

Jan Wdziękoński dentysta

przeprowadził się na ulicę Hortensya Nr. 7 m. 3. Plomby emaliowe (kolor naturalnego zęba).

Towarzystwo Ubezpieczeń „Przezorność”

w WARSZAWIE,

przyjmuje ubezpieczenia życiowe i od następstw wypadków (jednostkowe i zbiorowe).

BIURO DYREKCYI: Krakowskie-Przedmieście № 7.

„GARDE-MEUBLES”

A. Wróblewski i S-ka

TRĘBACKA 13.

NOWY-ŚWIAT 12

№ 47/49 Krakowskie-Przedmieście (dom własny),

BIURO BANKOWE

„GAZETY LOSOWANE”

Kupno i sprzedaż papierów publicznych, monet i banknotów podług kursu. Przekazy na wszystkie^o miejscowości w kraju i za granicą. Zaliczenia na papiery publiczne. Konwersje w Towarzystwach Kredytowych: Ziemskim, m. Warszawy. Dyskonto i inkaso weksli. Rachunki bieżące i lokacje terminowe. Bezpłatne informacje ustne i piśmienne we wszystkich sprawach pieniężnych.

Wydawcy Gebethner i Wolff.

Druk Warszawskiego Towarzystwa Akcyjnego Artystyczno-Wydawniczego.

Redaktor Dr Józef Wolff.

Redaktor przyjmuje codziennie, z wyjątkiem świąt, w biurze redakcyi, od godz. 1 do 2.—Rękopisów pomniejszych i materiałów rysunkowych, nadesłanych do redakcyi, nie zwraca się.

Дозволено цензурою, Варшава, 28 Ноября 1900 года.